Nr. 10. Lwów — Czwartek dnia 14 Stycznia. **Rok 1892**

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty.

We Lwowie bez dostawy		Na Prowincji z przesyłką pocztową	
Miesięcznie	zł. 75 ct.	Miesięcznie	zł. 1 10
Kwartalnie	2 „ 25 „	Dwumies	„ 2 10
Półrocznie	4 „ 50 „	Kwartalnie	„ 3 —
Rocznie	9 „ — „	Rocznie	„ 12 —

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy.

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Inne się nie przyjmują.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „Przeglądu" we Lwowie przy ulicy Sykstuskiej L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują
Trafika J. Ważnego, ulica Czarnieckiego 8.
„ przy ul. Karola Ludwika 5.
„ „ ul. Jagiellońskiej liczba 4
„ „ ul. Słowackiego (obok łazienek Diany)
Biuro dzienników, ul. Karola Ludwika liczba 9

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Dziś: św. Feliksa z Noli — Sylwestra
Jutro: św. Maura Op. — Małachia

Adres Redakcyi i Administracyi: **ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.**

Wschód słońca g. 7 m. 53
Zachód „ „ 4 „ 26

Długość dnia g. 8 m. 33
Przybyło dnia 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 13 stycznia.

Z Wiednia donoszą nam, że w skutek przedstawień prezesa Koła polskiego p. Jaworskiego, że sejm galicyjski musi być zwołany najpóźniej w lutym, gdyż Wydział krajowy, nie mając uchwalonego budżetu, znajduje się w kłopotliwem położeniu, odstąpił rząd od pierwotnego zamiaru zwołania Sejmów dopiero w marcu, i zrobi Najj. Panu propozycyę zwołania ich na dzień 5 lutego, Z tego powodu postawiono na porządku dziennym obecnej sesyi Rady państwa tylko najpilniejsze sprawy, niecierpiące zwłoki, t. j. traktaty handlowe, reformę studyów prawniczych i kilka drobnych przedłożeń Sprawa zaś wielkich budowli wiedeńskich przyjdzie pod obrady dopiero w marcu, t. j po sesyi Sejmów.

Od pani A. N, która stale mieszka w Kairze, a teraz chwilowo bawi w Tyrolu, otrzymaliśmy list pełny ciekawych szczegółów o sytuacyi, stworzonej śmiercią chedywa. Szanowna autorka pisze nam, że opowieść swą ułożyła na podstawie świeżo otrzymanych relacyj, które z pewnością są wyborne. Z wdzięcznością korzystamy z tych informacyj. Pani A. N. pisze:

„Trudno opisać popłoch i zamięszanie, wywołane nagłą śmiercią chedywa, człowieka młodego, bo liczącego zaledwie lat 40, pełnego sił i zdrowia. Śmierć zgoła niespodziewana wydarła go rodzinie, którą gorąco kochał, i krajowi, który pozostawił w nader trudnych stosunkach Dla nas zaś, cośmy go znali osobiście i często korzystali z jego uprzejmości, strata ta jest bardzo przykra. Żałują go wszyscy w Egipcie, nietylko jego poddani, ale i europejczycy, gdyż Tewfik-basza był jednym z najpopularniejszych władzców. Podczas świetnych dworskich balów, które co roku odbywały się w pałacu Abdin i na które otrzymywali zaproszenia nietylko egipscy i zagraniczni dygnitarze, ale także wszyscy znajdujący się w Kairze turyści, chedyw z prawdziwą muzułmańską gościnnością sam witał i przyjmował swych gości, a dla każdej z pań miał zawsze kilka słów wykwintnej uprzejmości. Zeszłej wiosny miałam sposobność rozmawiać z nim dość długo i wtedy się przekonałam, że zupełnie słusznie korzystał on z renomy człowieka rozumnego, obdarzonego umysłem bystrym i głębokim, czem nieraz zadziwiał wytrawnych dyplomatów. Było to na ogrodowym festynie, urządzonym na dochód ubogich austryackiej kolonii. W jednym, pawilonie przygotowaliśmy improwizowany koncert i wchodzącego chedywa powitaliśmy mazurkiem Wieniawskiego. Żywa nasza muzyka i zarazem rzewna widocznie mu się podobała. Słuchał pilnie, a potem zwrócił się do mnie, wypytując się o naszych kompozytorów. Od tego się zaczęła nasza rozmowa... Opuszczając festyn, zostawił 2000 franków, jako dar dla Towarzystwa Dobroczynności... Na dowód jak był uprzejmym, przytoczę jeden fakt, którego sama byłam świadkiem. — Działo się na dworcu kolei żelaznej; tłum był ogromny, bo każdy ciekaw był dworu, otoczonego dygnitarzami. Znalazło się tam również niemało turystów, bo przecież ci nie jako z powołania są ciekawskimi. — Otóż jeden z nich, mając przy sobie aparat fotograficzny, skierował go na przechodzącego wice-króla; sądził zapewne, że w tłumie nikt tego nie spostrzeże; ale chedyw bystrym wzrokiem spostrzegł od razu, więc się zatrzymał przed zmięszanym turystą i rzekł mu uprzejmie: „*J'attendrai pour Vous faire plaisir et pour que le portrait réussisse*". (Zatrzymałem się, żeby panu zrobić przyjemność i żeby portret się udał). — Tewfik-basza nie miał haremu. Był bardzo przykładnym małżonkiem jedynej swej żony, księżniczki Emineh, o której często wspominałam w opisach moich Egiptu. Ta pani, lubo haremowe wiedzie życie i jest otoczona licznym pocztem niewolnic, przyjęła jednak wiele zwyczajów europejskich i bardzo chętnie odbierała wizyty dam naszych Ubiera się według ostatniej paryzkiej mody i z słynęła z uprzejmości i wdzięku.

„Śmierć chedywa nastąpiła nie w stolicy, lecz w Helnanie, miejscu kąpielowem, o parę mil na południe od Kairu. Wice-król bawił tam dla tego, że pałac kairski jeszcze się po pożarze nie odbudował. Rezydencya w Helnanie ma tę wielką wadę, że leży wśród pustyni, gdzie ciągłe wichry o tej porze są chłodne i przejmujące nawet w upalnym Egipcie. I oto nabawił się tam wice-król choroby, która wyrzuciła go z pośród żyjących Rysami twarzy przypominał on ojca swego Ismaila-baszę, tylko nieco był niższy i bardziej otyły Właśnie o tym Izmailu, żyjącym w Europie na wygnaniu, a raczej po abdykacyi, przypomniał sobie teraz lud egipski. Piszą mi z Kairu, że przebąkują tam o możliwości powrotu dawnego pana, za którego czasów Fellahowie (wieśniacy) nigdy nie wiedzieli, ile jeszcze razy każą im zapłacić podatek. Stąd pewien niepokój. Ale i europejczycy nie wiedzą, jak się ułożą stosunki. Syn zmarłego wice-króla, siedmnasto-letni Abbas, wychowanek wiedeńskiej akademii Theresianum, jest zgodnie z muzułmańskiemi prawami uznany od roku za pełnoletniego, więc będzie rządził samodzielnie, jak jego ojciec. Ale do ojca zupełnie jest niepodobny Mówią o nim, że ma być dumny, ponury, nieufny i pomimo europejskiego wychowania, fanatyk, przywiązany do dawnych idei i zwyczajów, które już trudno zachować w Egipcie, leżącym na wielkiej drodze światowej. Są tedy w Kairze obawy, że dokoła młodziutkiego księcia skupią się teraz wszystkie intrygi, szarpiące Egipt od lat kilku. Anglicy są w ruchu, a poseł francuski nie spuszcza z oka żadnego ich kroku. Ogólnie się obawiają jakichś politycznych zawikłań, które można nawiązać do niejednej sprawy."

Pani A. N. kończy swój list przyrzeczeniem przysłać nam opis oryginalnego pogrzebu muzułmańskiego monarchy i następnych wypadków. Z góry dziękujemy Jej za łaskawą uprzejmość.

Wczoraj, po feryach świątecznych, znów zebrał się parlament niemiecki, a jutro i sejm pruski będzie otwarty. Pod dyskusyę w parlamencie przyjdzie niebawem ważny wniosek centrum o pozwolenie powrotu Jezuitom. Ponieważ rząd musi się domagać znacznych sum na cele militarne i marynarskie, a bez poparcia centrum ich nie otrzyma, przeto jest przypuszczenie, że rząd zajmie stanowisko przychylne w sprawie powrotu Jezuitów. Fantazya berlińczyków idzie jeszcze dalej i z tego faktu, że od roku 1866 jest to pierwszy wypadek, iż cesarz sam zaprzysięga arcybiskupa, a nadto Polaka, wysnuwają pogłoski o wiszących w powietrzu bardzo radykalnych zmianach w Poznańskiem. I tak mówią, że język nasz otrzyma zupełne równouprawnienie i że naczelnym prezydentem prowincyi zostanie p Józef Kościelski. Dałby to Bóg! ale my w to nie wierzymy. Dużo jeszcze wody upłynie, zanim Niemcy się przekonają, że oddanie nam sprawiedliwości niczem im nie grozi owszem wzmacnia państwo. W każdym razie, znajdujące się w dzisiejszych telegramach przemówienie cesarza Wilhelma do x. arcybiskupa Stablewskiego wcale nie usprawiedliwia berlińskich pogłosek.

Można tylko jedno stanowczo powiedzieć, że teraźniejszy rząd konsekwentnie usuwa bismarkowskie wymysły. I tak teraz z kolei postanowił zniesienie rady kulturnej, wymyślonej przez Bismarka, aby rywalizowała z parlamentem i sejmem w sprawach rolniczych. Nią zasłaniał się Bismark, jej do ucha dyktował, a potem mówił, że specyaliści tak orzekają. Stąd była ciągła głucha walka między tą radą a parlamentem i sejmem, które jej znieść nie mogły. Rząd skasował ją teraz bez długich korowodów — i wszyscy mu przyklasnęli, oprócz naturalnie Bismarka i jego drużyny.

Korespondencye.

Wiedeń 10 stycznia.

(·/.) Dwa doniosłe programy mamy przed sobą: program nowego ministra i program nowego prezydenta kolei państwowych. Oba są najzupełniej jasne i wyczerpujące.

Hr. Kuenburg powiada w swym programie, że:

1) pozostaje i nadal członkiem stronnictwa lewicy — jak to bywa zresztą na Węgrzech i w Anglii, że będzie bywał na posiedzeniach lewicy i informował ją o zapatrywaniach rządu. Toż samo czyni minister Zaleski, jako poseł i członek Koła polskiego;

2) Lewica w osobie swojego ministra otrzymała żądane gwarancye dla *status quo*;

3) Lewica formalnie pozostała czem była, nie przyjęła obowiązku stania się partyą rządową, ani zawarcia kartelu z innemi partyami;

4) Nowy minister atoli, nie porzucając partyi i strzegąc jej zapatrywań — jest przecież jako minister, jako członek rządu, nie partyjnym, nie niemieckim ministrem, ale austryackim ministrem;

5) Zadanie jego jest podwójne, gdyż odnosi się do rządu i do partyi w ich wzajemnym stosunku;

6) Okoliczność, że wyszedł z partyi i związek z nią utrzymuje, uważa za pożądany objaw uzdrowienia stosunków parlamentarnych, czyli, że minister ten będzie dążył do tego, żeby rząd stał się parlamentarnym. Tymczasem on tylko jeden jest ministrem parlamentarnym.

Stąd zaś wynika, że hr. Kuenburg dopóty będzie ministrem, dopóki będzie trwała zgodność zapatrywań rządu i lewicy. Zarazem jednak dalej i to, że dopóki zgodność ta, na podstawie *status quo* trwa, dopóty lewica f a k t y c z n i e jest partyą rządową i w rządzie ma udział przez swojego ministra. Natura stosunków przedstawia się zatem inaczej, niżby to według formalistyki szablonowej sądzić można było. Ostatecznie więc lewica uzyskała ogromnie wiele, gdyż bierze udział w rządzie; a znowu rząd zyskał ogromnie wiele, gdyż pozyskał lewicę, nie odstępując zgoła od swojego systemu rządzenia. Ogromny tedy uczyniono krok w kierunku wyrównania przeciwieństw i usunięcia wzajemnej nieufności.

W obec tego, stanowisko Koła polskiego nie zmieniło się zgoła, sytuacya jego nie jest w niczem naruszona. Rząd i główne partye bez Koła i po za Kołem działać nie mogą jak przedtem, tak i teraz.

Nowy dyrektor kolei państwowych p. Biliński zaznaczył następne wytyczne punkta dla swojego działania:

1) należy pamiętać ciągle o tem, że koleje mają służyć celom wojskowym;

2) taryfy należy obniżać dla poparcia produkcyi;

3) ruch osobowy i towarowy należy podnieść, a to dla tego, żeby koleje służyły także finansom państwa;

4) należy zatem administracyę upraszczać, bieg instancyj skracać, oszczędzać bez szkody dla prężystości i bezpieczeństwa, budżet układać rzetelnie i jasno;

5) organizacya kolei jest daną i ukończoną, a nowy prezydent, przejmując ją, nie staje zgoła w sprzeczności z poprzednim Kołem polskiego;

6) jako polityk, zachowa swoje dotychczasowe zasady, ale jako prezydent kolei przestaje być politykiem;

7) korpus urzędników i sług kolejowo państwowych należy urządzić według wojskowej karności i wyborowości. Będzie on dla nich zawsze życzliwym opiekunem.

Jeżeli dodamy, że nowa organizacya kolei daje mu właśnie rozległe pole do popierania interesów własnego kraju — to cały ten program z uznaniem i otuchą do wiadomości przyjąć możemy.

Zgodnie z nim, złożył p. Biliński najpierw mandat członka komisyi parlamentarnej Koła

Rada Państwa.

(*Telegramy „Przeglądu"*)

Wiedeń 13 stycznia Izba posłów rozpoczęła wczoraj obrady nad traktatami handlowymi.

Referent p H a l l w i c h zalecał ich przyjęcie.

P. K r a m a r z (młodoczech) występował przeciw traktatom, głównie z motywów politycznych. Trójprzymierze bowiem jest dla młodoczechów niesympatyczne, gdyż zamiast dawać rękojmię pokoju, wzmaga tylko niebezpieczeństwo wojny przez swą tendencyę odwrócenia naturalnego wpływu Rosyi od państw bałkańskich. Traktaty, zdaniem p. Kramarza, wyjdą tylko Niemcom na pożytek. Austrya stanąwszy mylnie na stanowisku państwa wyłącznie rolniczego, wydała swój przemysł na łup Niemcom, a swą uprawę winogradu na łup Włochom. Niepotrzebnie poniosła Austrya te ofiary, bo Niemcy i bez traktatów byłyby musiały obniżyć swoje cła zbożowe, gdyż drożyzna u nich wielka, a liczba socyalistów wzrasta z każdym dniem. Spodziewane korzyści dla rolnictwa austryackiego są wątpliwe, gdyż Niemcy prawdopodobnie zawrą traktat także z Rosyą Cała polityka wschodnia rządu nie podoba się mówcy, bo politykę, która ma na celu wykorzenienie u ludów bałkańskich sympatyi dla Rosyi, uważa on za złą i nienaturalną

P. P e e z widzi w traktatach rozumne pogodzenie interesów przemysłu i rolnictwa. Państwa środkowej Europy muszą zawierać sojusze handlowe, bo konkurencya amerykańska staje się coraz groźniejszą.

P. K l a i c żądał, aby traktat zawarty z Włochami przekazano jeszcze raz rządowi, gdyż zniżenie cła od win włoskich zrujnuje Dalmacyę. P Klaic wyraził przytem nadzieję, że rząd będzie energicznie bronił nie podlegającego żadnej wątpliwości prawa własności Austro-Węgier do wyspy Pelagosy na wybrzeżu Adryatyckiem, co do której radykaliści włoscy podnieśli w parlamencie pretensye, — iż należeć powinna do Włoch.

P. S u k l j e oświadczył, że nie z powodu narodowych sympatyj jest zwolennikiem trójprzymierza, ale dla tego, iż jest ono gwarancyą pokoju europejskiego.

Na tem przerwano obrady.

Na końcu posiedzenia wniesiono jeszcze kilka nagłych wniosków o przyznanie urzędnikom państwowym dodatku drożyźnianego.

Sprawy krajowe.

Krajowa komisya dla spraw rolniczych, na posiedzeniu dnia 5go b. m. odbytem, powzięła cały szereg uchwał. W sprawie melioracyi gruntów uchwalono doradzać Wydziałowi krajowemu, aby pomocy technicznej udzielał bezpłatnie nietylko dla powiatowych i gminnych robót melioracyjnych, lecz także dla robót, podejmowanych przez właścicieli gruntów. Dalej uchwalono doradzać Wydziałowi krajowemu: a) aby wyjednał u Sejmu 4 stypendya po 1000 zł. rocznie przez lat pięć dla ukończonych słuchaczów inżynieryi celem wykształcenia ich w technice melioracyjnej, tudzież urządzenie 10 ekspozytur biura melioracyjnego w okolicach, gdzie grunta potrzebują melioracyi b) aby subwencyonował fabryki rurek drenarskich, ewentualnie zasilał je pożyczkami z funduszu przemysłowego, c) aby urządził krajowe składy narzędzi drenarskich, d) aby dla transportu rurek drenarskich na kolejach galicyjskich wyjednał ulgi taryfowe, e) aby zarządził publikacyę doświadczeń, zrobionych w czasie dwunastoletniej działalności krajowego biura melioracyjnego.

Dalej uchwaliła komisya upraszać Wydział krajowy o wystaranie się funduszu na doświadczenia mające na celu tępienie szkodnika leśnego t. z. „mniszki brudnicy." O fundusz ten należy przedewszystkiem zwrócić się do rządu. W sprawie podniesienia przemysłu krochmalarnego uchwalono doradzać Wydziałowi krajowemu, aby postarał się u Sejmu o fundusz pożyczkowy 20.000 na wspieranie powstających w kraju krochmalarń rolniczych.

W sprawie podniesienia hodowli bydła uchwalono upraszać Wydział krajowy o wyjednanie u Sejmu: a) utworzenia stałego funduszu hodowlanego 50.000 zł. na udzielanie gminom pożyczek na zakupno buhajów rozpłodowych, b) wstawienia w budżet krajowy corocznie przez lat 10 po 30.000 zł. na podniesienie hodowli bydła, t. j. na subwencyonowanie obór zarodowych, na premiowanie hodowli itp. Na ten sam cel należałoby wyjednać u rządu subwencyę po 30.000 zł. przez lat 10, i wezwać wydziały powiatowe, aby ze swoich funduszów przyczyniały się do podniesienia hodowli bydła.

Ze względu na to, że koniecznym warunkiem skutecznej akcyi ku podniesieniu hodowli bydła w kraju, jest zamknięcie granicy dla bydła stepowego, uchwaliła komisya prosić Wydział krajowy, aby poczynił u rządu jak najenergiczniejsze kroki przeciw otwarciu granicy rosyjskiej i rumuńskiej dla przywozu bydła do Austryi.

Wreszcie uchwalono upraszać Wydział krajowy, aby w porozumieniu z Towarzystwem gospodarskiem we Lwowie, Towarzystwem rolniczem w Krakowie i Zarządem Kółek rolniczych wypracował i ogłosił przepisy wykonawcze do ustawy hodowlanej i przepisy o przymusowem ubezpieczeniu bydła i aby postarał się o wydanie odpowiedniego podręcznika o utrzymywaniu buhajów gminnych

Murzyńska rzeczpospolita.

Leon Brenner, podróżnik niemiecki, tak opisuje pobyt swój w murzyńskiej rzeczypospolitej Liberyi w Afryce, którą zwiedzał przed czterema laty.

Aż do naocznego poznania Liberyi miałem o niej bardzo dobre wyobrażenie, a to głównie dzięki podręcznikowi geografii Daniela, który tak pisze o tem państwie: „W roku 1867 liczyło ono 17.500 cywilizowanych murzynów, a 700.000 krajowców Uprawa roli jest należyta. Chrześcijaństwo rozpowszechnione jest w całym kraju w formie wyznania anglikańskiego. Stolica państwa, Monrowia, jest miastem dobrze zabudowanem, posiada zakłady naukowe, bibliotekę, czasopismo i jest ogniskiem tamtejszego handlu." Jeżeli Liberya w dwadzieścia lat po przeistoczeniu się z kolonii amerykańskiej w samoistną rzeczpospolitę stanęła tak wysoko, jak opisuje Daniel, to po upływie drugich lat 20 spodziewałem się zobaczyć w niej podwójny i potrójny postęp w każdym kierunku, tem bardziej, że jak wskazywała statystyka, ludność Liberyi dosięgła już cyfry 2 milionów.

Jak wielkiem było moje rozczarowanie, gdym sam zobaczył jedyne na kuli ziemskiej niepodległe państwo murzyńskie, opowiem ci szanowny czytelniku. Dnia 15 grudnia 1887 r. zarzuciliśmy kotwicę na wybrzeżu przylądka Mesurado, który leży w granicach Liberyi. Gromada nędzarzy, złożona z półnagich murzynów, otoczyła nas na wstępie ofiarowując krzykiem i wrzaskiem swoje usługi. Rozprawiwszy się z natrętną tą hołotą, skierowaliśmy kroki ku miastu, położonemu w pobliżu portu. Już pierwszy rzut oka na Monrowię rozczarował mnie zupełnie. Ta stolica, o której Daniel przed 20 laty pisał, że jest „dobrze zabudowaną", jest niczem więcej, tylko brudną wioską murzyńską o 4000 ludności, zamieszkującej po większej części nędzne chatki. Kilka zaledwie domów zbudowanych z kamienia naliczyłem w Monrowii. Były to mieszkania niewielu białych, którzy tu przebywają, jakoteż budynki rządowe, jak: mieszkanie prezydenta, parlament i nakoniec kościół.

Ale wychodzimy na ulicę. Tu, Boże odpuść, gdaczące kury i kwiczące wieprze spacerują sobie swobodnie jak za najlepszych czasów, obok nich w sąsiedzkiej zgodzie woły, dziwnie małego wzrostu, i wreszcie gromada dzieci ulicznych. Te ostatnie szczególnie są tu licznie reprezentowane, bo w Liberyi chłopców do 15go roku życia uważają za zupełnie niezdolnych jeszcze do pracy i puszczają ich samopas. A typy tutejsze nie mają chyba sobie równych na świecie. Gdyby kiedy urządzono zamiast konkursów piękności jaki konkurs brzydoty, Liberyanie zapędziliby z pewnością wszystkich innych w kąt! Nie dość bowiem, że natura obeszła się z nimi pod tym względem po macoszemu i że pomiędzy brzydkimi zresztą Murzynami oni należą do najbrzydszych, jakich spotykałem, szpecą się jeszcze zapomocą tak zwanego „tatuowania." Mężczyźni mianowicie tatuują sobie szeroką niebieską linię, pociągniętą przez całe czoło w kierunku pionowym aż do końca nosa i dwa także niebieskie trójkąciki na skroniach. Kobiety muszą naturalnie w elegancyi przewyższać mężów, więc oprócz powyższych „ozdób" noszą na całem ciele rozmaite pomalowane desenie.

Pod jednym względem położenie Liberyjczyków godne jest zazdrości: oto nie mają oni powodu narzekać na przesolone rachunki krawieckie, jak to dzieje się u nas. Do dwunastego roku życia dzieci obojga płci biegają sobie w stroju adamowym, potem dopiero dostają dziewczęta rodzaj pokrycia, nie ze wszystkiem wystarczającego, które uzupełniają dopiero przy zamążpójściu. Najbogatsi tylko i najwybitniejsi obywatele rzeczypospolitej, których jest bardzo mało, ubierają się po europejsku. Kiedy dodam do tego, że mężczyźni żują cały boży dzień tytoń, a kobiety palą z krótkich gipsowych fajeczek, to czytelnik

---

13)

PORADNIK
dla kaszlących

pisał

Dr. Jasiński.

(Ciąg dalszy).

Otóż dawniej mniemano, że każdy taki zakład jest szczytem doskonałości, że przeto suchotnik, dostawszy się raz do takiego zakładu, znachodzi tam już stosunki idealne. Teraz wiemy, że tak nie jest. Odkąd bowiem znamy dokładnie owe warunki, od których wyzdrowienie zawisło, i odkąd jesteśmy w stanie porównywać krytycznie te warunki z temi, jakie w sanatoryach istnieją, odtąd wiemy, że jak każde dzieło ludzkie, tak też i sanatorya nie są szczytem doskonałości, lecz pozostawiają wiele do życzenia. W jednych z nich pozostawia n. p. wikt do życzenia, w innych zaś klimat, lub pomieszkanie, albo sposób badania chorych, lub sposób leczenia*) i t. d. We wszystkich sanatoryach na ereszcie działa niekorzystnie ta okoliczność, że chory musi żyć wśród samych suchotników, ma więc nieustannie przed oczyma widok, który go nie rozwesela, lecz owszem przygnębia. Do tego trzeba dodać jeszcze i ten fakt, że sanatorya bynajmniej nie starają się o to, co umysł rozwesela. O stałej muzyce n. p., o którą dziś stara się każde nieco lepsze uzdrowisko, nie ma tam mowy, bo utrzymywanie kapeli jest połączone z wydatkami. Kuracyusze spędzają tedy czas najczęściej monotonnie, a więc w nudach. Jedyna rozrywka, jaką im zalecają, polega na tem, że mogą sobie co parę godzin wsuwać ciepłomierz pod pachę.

Aby zamaskować właściwy powód, dla którego muzyki nie utrzymują, wmawiają kierownicy niektórych sanatoryów w swą klientelę, że muzyka szkodzi. Kierownicy zaś innych sanatoryów uznają wprawdzie zbawienny wpływ muzyki, ograniczają się jednak zaledwie do jednorazowego w tygodniu sprowadzania tejże.

Co do twierdzenia, że muzyka szkodzi, wątpię, czy jest dziś kto tak dobrodusznym, aby brał to twierdzenie na seryo. Dziś wie przecie już każdy człowiek, umiejący sądzić samoistnie, że właśnie muzyka jest ową posłanniczką niebios, która ludzi rozwesela i napawa rozkoszą, niemającą równej sobie. Wszystko zaś, co umysł rozwesela, wpływa, jak już wiemy, korzystnie na sprawy żywotne i na odporność ustroju. Muzyka może wprawdzie rozstrajać, ale to czyni tylko zła muzyka O takiej zaś nie ma tu mowy. Nie przeczę zresztą, że w sanatoryum, liczącem dajmy na to 400 kuracyuszów, znajdzie się kilka takich, którzy nawet dobrej muzyki nie znoszą. Ci więc nie potrzebują jej słuchać. Ale zkąd przychodzi przemagająca większość kuracyuszów do tego, aby ją pozbawiać owego pocieszenia, jakiem dobra muzyka serca ludzkie napawa.

Powtarzam tedy, że sanatorya mają wady niezaprzeczone. Dlatego też wysyłamy tam teraz tylko takich suchotników, o których wiemy z góry, że bez ścisłego nadzoru nie potrafią postępować tak, jak potrzeba.

O tem, co hartuje, i o tem, co rozdelikaca.

Wspominałem dotąd wielokrotnie o odporności żywotnej i wykazywałem, że ona jest niezbędnym warunkiem tak utrzymania zdrowia, jak też odzyskania go napowrót, gdy zostało utraconem. Ponieważ więc ta odporność odgrywa w życiu ludzkiem rolę tak niezmiernie ważną, przeto musimy się raz zająć pytaniem: „Od czego zawisła odporność żywotna?"

Zawisła ona, a względnie jej stopień, głównie od trzech okoliczności. Po pierwsze od konstytucyi. Im silniejszą konstytucyę człowiek posiada, tem jest odporniejszym na wpływy szkodliwe Stopień odporności zawisł po wtóre od wieku. W młodości jest ustrój więcej odpornym, niż w wieku podeszłym. Młody żołnierz na przykład znosi bez uszczerbku dla swego zdrowia takie trudy i znoje, jakichby człowiek wiekowy nie był w stanie znosić. Stopień odporności zawisł po trzecie od stopnia zahartowania.

Nasz rębacz n. p. pracuje w porze zimowej podczas pluty i szarugi na wolnem powietrzu, a nic mu to nie szkodzi. Salonowa dama zaś dostałaby w takich warunkach co najmniej zapalenia płuc, jeśli nie tyfusu.

Weźmy inny przykład. Nasi ubożsi starozakonni kręcą się nieraz wśród trzaskących mrozów od świtu do późnej nocy po ulicach, a pomimo to cieszą się zdrowiem dobrem, chociaż są zwykle i licho odziani i żywią się nędznie. Każmy jednak czynić to samo urzędnikowi biurowemu, a popadnie on niezawodnie w chorobę jak najcięższą. Weźmy jeszcze jeden przykład. Majtkowie są, zwłaszcza w czasie żeglugi na morzach północnych, wystawieni dniem i nocą na wściekłe burze i wszelkie zmiany powietrza, a pomimo to nie dostają nawet kataru, gdy tymczasem niejeden młodzian miejski, chociaż się nie naraża na takie szkodliwaści, z kataru prawie nie wychodzi.

Hartowanie jest tedy najlepszym środkiem do nabycia odporności. Jest to oraz środek, będący zupełnie w naszej mocy. Konstytucyi bowiem trudno zmienić. Zmiana wieku jest równie niemożebną, gdyż trudno cofnąć wstecz wskazówkę czasu. Hartować atoli możemy się od urodzenia aż do końca życia i powinniśmy to czynić, jeżeli chcemy zachować odporność żywotną. Idzie tylko o to, w jaki sposób mamy się hartować.

Najlepiej hartuje, jak już wyż przytoczone przykłady pouczają, powietrze, t. j. ciągłe przebywanie na wolnem powietrzu. Dla tego są tak zahartowani wieśniacy, tudzież myśliwi, albo tacy nadmorscy mieszkańcy, którzy się zajmują rybołowstwem.

Dla tej samej przyczyny hartuje tak wyśmienicie uzdrowiskowy tryb życia, polegający, jak wiemy, na wczesnem wstawaniu i przebywaniu całemi dniami na wolnem powietrzu. Im zdrowszem zaś jest powietrze, tem lepiej hartuje ono. Dla tego też hartuje najlepiej pobyt w uzdrowiskach alpejskich lub północno-morskich. W Samaden n. p. lub w Pontresina i Maloja, albo na wyspach Sylt i Helgoland, spotykałem nieraz starców blisko 80-letnich. Przyjeżdżali oni do tych uzdrowisk co roku i spędzali tam sezon letni. Czynili to zaś dla tego, że pobyt w tych uzdrowiskach odmładzał ich niejako, t. j nadawał im odporności prawie młodzieńczej.

Dawniej mieli ludzie o tem, co hartuje, całkiem inne, a względnie najdziwaczniejsze wyobrażenia Między innemi sądzili, że najlepiej hartuje woda, i to woda zimna. Stanąwszy raz na tym mylnym punkcie widzenia, rozumowali dalej już całkiem logicznie, że woda hartuje tem lepiej, im jest zimniejszą. Dla tego też używali chętnie wody prosto ze źródła, a więc wody rażąco zimnej. Tak postępował, jak wiadomo, jeszcze i Pryśnic. Później jednak zaczęli ludzie zastanawiać się nad tą rzeczą i przychodzili powoli do zapatrywań coraz odpowiedniejszych. Skutkiem tego zaprzestali używać wody rażąco-zimnej, a zaczęli uciekać się do wody zimnej.

(Ciąg dalszy nastąpi)

*) W niektórych sanatoryach leczą naprzykład całkiem zimnym i z znacznej wysokości spadającym natryskiem. Rozumie się, że sprowadzają nim krwotoki i zgubą niejednego chorego. W innych sanatoryach zaś morfinizują suchotników, i to na wielką skalę

łatwo utworzy sobie obraz obywateli tej afrykańskiej republiki.

Wkrótce po przybyciu do Monrowii poszedłem na pocztę. W małej, dusznej izdebce siedział licho odziany murzyn, który odebrał list odemnie. Zawód ten nie zdawał się wkładać na jego barki nadzwyczajnych ciężarów, bo gdy wszedłem do „urzędu", nudził się w najlepsze i bardzo chętnie zawiązał ze mną rozmowę. Gadaliśmy tak ze sobą przeszło godzinę, a żywa dusza nie przeszkodziła nam ani na chwilę. Ale jakiez było moje zdziwienie, kiedy w ciągu tej rozmowy dowiedziałem się, że mój murzyn jest nietylko urzędnikiem pocztowym, ale także **listonoszem i... general post-master** tj. jeneralnym dyrektorem poczt w całem państwie, a zatem i wysokim dostojnikiem liberyjskiego rządu! Wkrótce jednak zdumienie moje ustąpiło, gdy dowiedziałem się od szanownego dygnitarza w jaki sposób spełnia on swoje liczne obowiązki. Ponieważ Liberyjczycy wysyłają bardzo mało listów, a to z tej prostej prostej przyczyny, że mało kto umie pisać, ci zaś, którzy umieją, nie mają z kim i o czem korespondować, przeto p. jeneralny pocztmistrz rzadko kiedy pełni służbę jako listonosz roznoszący listy swoim współobywatelom i jako urzędnik pocztowy, zajmujący się przyjmowaniem listów. Zbywający czas obraca na przestrzeganie porządku i czystości w urzędzie, jakkolwiek Bogiem a prawdą nie mogłem dopatrzeć się śladów tej gałęzi jego działalności urzędowej, a gdy zostaje mu jeszcze kilka chwil wolnych, wtedy jak dobry ojciec i gospodarz oddaje się karmieniu dzieci i wieprzków. Tak mnie przy najmniej sam najuroczyściej zapewnił.

Kiedy poczciwy nasz jeneralny dyrektor dowiedział się, z jak dalekich stron przybywamy, polecił nam koniecznie złożyć wizytę prezydentowi rzeczypospolitej, dodając, że sam najchętniej nas wprowadzi na dwór i przedstawi.

Spodziewając się odnieść nie mało pożytku z takiej wizyty, oświadczyłem moją zupełną gotowość i postanowiłem wziąć ze sobą także dwóch moich towarzyszy.

Następnego dnia zatem udaliśmy się wszyscy trzej do uprzejmego dyrektora, ale urząd pocztowy zastaliśmy zamknięty; mały jakiś chłopak, prawdopodobnie służący, powiedział nam, że pana jego znajdziemy w jednym z sąsiednich domów. Właśnie gdyśmy mieli przekroczyć próg wskazanego domu, wyszedł z niego murzyn czarny jak węgiel, ubrany w jakiś dziwaczny uniform o krzyczącym kolorze niebieskim i czerwonym, bogato przetykany złotem. Na głowie miał kolosalnych rozmiarów kapelusz, który musiał ważyć niemało, bo widoczne było, że biedak zaledwie głowę pod nim zdoła utrzymać. Kapelusz ten przypominał swym kształtem arkę Noego obróconą do góry nogami, zaopatrzony był w kokardę wielkości bochenka chleba, a na wierzchołku jego bujała kita olbrzymich piór strusich.

U boku murzyna znajdowała się długa szabla wlokąca się po ziemi. Uniformu tego dopełniały nieproporcjonalnie wielkie złote epolety. Był to jenerał-adjutant samego prezydenta, wysłany w tym celu, ażeby nam towarzyszyć. Za nim okazał się dyrektor poczt przybrany w strój galowy, podobny zresztą zupełnie do munduru adjutanta. Kolory czerwone, żółte i zielone w rozmaitych odmianach były tu dominujące.

Skierowaliśmy kroki nasze w kierunku pałacu prezydenta. Pałac ten, któryby nawiasem mówiąc nie zwrócił uwagi w najlichszej mieścinie europejskiej, tam uchodził za niesłychane dziwo. Jego ekscelencya pan prezydent rzeczypospolitej, Mulat, tj. syn europejczyka i murzynki lub na odwrót, nazywał się Johnson i po raz trzeci już zasiadał na krześle prezydenta. Był to mały, chorowity i nerwowy człowiek odziany we frak europejskiego kroju i obwieszony sześciu orderami. Po kilku pierwszych słowach oświadczył się p. prezydent z gotowością oprowadzenia nas po Monrowji i pokazania nam osobliwości tego miasta, które składały się mianowicie z kościoła i jakichś dwóch rządowych budynków. Pan Johnson zatem w republikańskiej swojej skromności pełnił także funkcye przewodnika cudzoziemców. Rzecz naturalna, że propozycyę jego przyjęliśmy z wdzięcznością. Prezydent **zaświstał** tedy na swego jenerał-adjutanta, który podał mu cylinder i rękawiczki. Potem włożył na głowę olbrzymi cylinder, prosząc ażebyśmy to samo zrobili z naszymi kapeluszami. Nastąpiło wkładanie żółtych jak słoma rękawiczek, z których ciekawie wyglądały końce prezydenckich palców. P. Johnson widząc, że ta część garderoby jego wywołała u nas lekkie uśmiechy, zaczął łajać adjutanta dla czego nie podał „nowych" rękawiczek?

Adjutant usprawiedliwiał się, utrzymując, że nie może ich znaleźć, co prezydenta zaraz uspokoiło Najpierw tedy udaliśmy się do gmachu sejmowego, który zawierał dwa skrzydła, a raczej zwykłe przedziały. W tak zwanym „senacie", t. j. w izbie panów siedziało pół tuzina senatorów, jeden czarniejszy jak drugi, niektórzy mieli na sobie narzutki, inni fraki, a wszyscy byli bez butów. Przy tej sposobności dowiedziałem się, że takich senatorów posiada Liberya dwunastu. Izba posłów licząca 30 członków, różni się od senatu tem tylko, że jest o wiele przestronniejsza, a posłowie poubierani są w majtki Prezydent opowiadał nam, że biali wykluczeni są w całej rzeczypospolitej od urzędów, tudzież że on jest najlepszym mówcą w kraju. Na dowód swego talentu krasomówczego obiecał ofiarować nam zbiór swoich oracyj parlamentarnych. Po tem zostaliśmy także przedstawieni pp. ministrom. Jeden murzyn jest ministrem sprawiedliwości, drugi finansów, inny spraw zagranicznych; jako czwartego ministra przedstawił prezydent ku naszej wielkiej uciesze — listonosza i jeneralnego pocztmistrza. Udaliśmy zakłopotanych i poczęliśmy usprawiedliwiać się za nietytułowanie go ekscelencyą, co minister łaskawie przyjął, wyjaśniając nam, że jako republikanin nie dba o tytuły.

Po południu zaprosił nas do siebie minister finansów. Zastaliśmy go właśnie w chwili, gdy uzbrojony w wielki nóż kuchenny, rznął kurę, przyczem urzędowy frak zamienił na wygodniejszy codzienny strój W ciągu rozmowy udzielił nam wiele zajmujących szczegółów.

Roczny dochód państwa wynosi 174.000 dolarów, wydatki 138.000, z czego prezydent otrzymuje gażę roczną 812 dolarów. Przed kilkunastu laty któryś prezydent zrobił brzydki szwindel finansowy. Pożyczył gdzieś w Anglii pół miliona dolarów na 7 pr, i całą tę sumę przepuścił w towarzystwie wesołych ministrów. Dotąd państwo nie spłaciło tego długu

W czasie rozmowy skończył nasz gospodarz rznięcia kury, obmył sobie ręce, a potem ubrał frak i przypiął na szyję order. Ordery w rzeczypospolitej murzyńskiej dostać można bardzo łatwo. Potrzeba złożyć 50 dolarów na cele dobroczynne, aby otrzymać order i szlachectwo, za 900 dolarów można zostać nawet jakimś wysokim dygnitarzem honorowym. W Barcelonie istnieje nawet liberyjska agencya dla sprzedaży orderów.

Wojska nie posiada Liberya wcale. Artykuł ustawy tamtejszej mówi: „Ze względu na to, że armia albo jakakolwiek inna siła zbrojna mogłaby stać się groźną dla bezpieczeństwa wolności państwa, nie może republika utrzymywać żadnego wojska" To też osłupiałem ze zdziwienia, gdy właśnie podczas rozmowy nad tym przedmiotem rozwarły się drzwi i wszedł pstrokato ubrany wojak, którego przedstawił minister jako naczelnego jenerała. Jenerał dźwigał ze sobą olbrzymie szablisko, na głowie miał również nieproporcyonalnie wielki kapelusz z pióropuszem. Jakiego koloru był jego mundur, tego absolutnie nie mogłem skonstatować, ponieważ cały przetykany i wyszywany był złotem i frendzlami. Z tem wszystkiem jednak był pan jenerał — bosy. Dopiero teraz objaśnił mię minister, że rzeczpospolita rozporządza armią złożoną z 4 regimentów piechoty i jednego oddziału artyleryi, ale to tylko na papierze. Dotąd bowiem nie było ani razu potrzeby powoływania pod broń żołnierzy, którzy tymczasem zajmują się uprawą roli, rzemiosłami itp. Całe zaś uzbrojenie składa się z 200 strzelb, 200 lanc i z jednej armaty zagrzebanej do połowy w piasku nad portem. Szczęśliwa Liberya!

Na drugi dzień rano p. prezydent z całem gronem ministeryalnem i wszystkimi dygnitarzami złożył mi uroczystą wizytę. Brakowało między nimi jeneralnego pocztmistrza, który usprawiedliwił się, że przyjdzie później, gdyż musi wprzód spełnić obowiązek listonosza Na cześć prezydenta zatknął nasz okręt galową flagę.

Wszyscy przedstawiciele rządu okazali przy obiedzie wielki apetyt a nadto i skłonność do spirytualiów, których bynajmniej nie żałowaliśmy im Minister spraw zewnętrznych spił się tak gruntownie, iż pozdejmował wszystkie ministeryalne swe godła i mundur, i biesiadował w stroju adamowym, a nawet prezydent podniecony wszy sobie fantazję zrzucił z siebie frak, tłómacząc się podobnie jak jego poprzednik, że to człowieka krępuje przy jedzeniu

Po kilkogodzinnej uczcie powynoszono ministrów, a prezydent miał jeszcze tyle siły, że wyściskał nas i obiecał przysłać dyplomy na order liberyjski. Dyplomy te otrzymaliśmy nazajutrz rzeczywiście, ale niestety bez — odznaki. Była to zapewne wskazówka, że te ostatnie można sobie kupić w agencyi orderów w Barcelonie.

Wyjechaliśmy z Monrowji jako komandorowie republiki liberyjskiej.

Z TEATRU.

„Sto dyablów", komedya w 4 aktach Franciszka Dominika. Rzecz dzieje się w Warszawie przy końcu zeszłego stulecia. Jakto? W naszych czasach nowoczesnej „komedyi" rzecz wista komedya bez socyalnej tendencyi, bez dyalogowanej rozprawy, bez sondy która bada jedną z ran społecznych? Tak. Widzieliśmy wczoraj komedyę, która nie będąc farsą, odważa się nie być sensacyjną, ale jest — czem? Na to pytanie pozostajemy odpowiedzi dłużni. Komedyą historyczną, jakby z tytułu wnioskować można, nie jest. Najbardziej zbliża się ona do komedyi anegdotycznej Kraszewskiego — ale i taką nazwać jej nie można.

Sam pomysł komedyi Dominika jest bardzo piękny, obrobienie jednak zawiodło autora.

„Sto dyabłów" przenosi nas w wielki świat Warszawy za czasów ostatniego króla, w ową romantyczną epokę rococo, kiedy piękne kobiety trzymały w delikatnych rączkach berło nad upudrowanym światem Życie wówczas płynęło jak w księżycowej bajce: bale, koncerty, maskarady i owe naiwne sielanki, w których dumne panie, przebrane w białe muśliny i kwiaty białe dzierżyły laski pasterskie, były treścią życia. Panowały miłość i galanterya—razem wdzięczne, lekkie kłamstwo. „Après nous le déluge." Warszawa marzyła i szalała.

Dominik jednak, pisząc na tle tej epoki swoją komedyę, nie przejął się ówczesnem życiem, nie zapoznał się z niem dokładnie Słuchając utworu jego mimowoli przychodzi na myśl że autor rozmiłowanym jest w Kraszewskiego powieściach z onych czasów i wiele się w nie wczytuje. Wyniósł z nich jednak tylko pamięć o brudach, o rozpuście, o wszystkich grzechach głównych. I takim je nam przedstawia. A przecież, chociaż towarzystwu ówczesnemu zarzucić możemy lekkomyślność bezgraniczną, nawet zapomnienie świętych obowiązków, nigdy jednak nazwać go nie możemy ani płaskiem, ani brudnem. Zresztą autorowi nie rozchodzi się wcale o tendencye, o sprawy społeczne i narodowe — pragnie on przedstawić tylko życie salonów, życie powszednie, zewnętrzne. Dla czegóż więc nie kreśli go takiem, jakiem ono było? Widzącem w życiu tylko kwiaty i blaski, naiwnie tem życiem się cieszącem i rozbawionem romantyzmem w peruce i żabotach. Kobiet ślicznych, mężczyzn zalotnych, a wszystkich wystrojonych błyszczących, dowcipnych, eleganckich w obejściu i wdzięcznych. Wówczas mężczyzna przypinał u fraka gałązkę bzu lub bukiecik róż, ale u boku nosił zawsze szpadę.

W „Stu djabłach" poznajemy zaraz w pierwszym akcie całe towarzystwo. Przedstawia je nam szambelan, znający wszystkich i wszystko I któż tam jest? Mężczyźni: szulerzy, rozpustnicy, idyoci, mar otrawcy, awanturnicy i jeden szlachcic w kontuszu, nie lepszy, jak tamci. Kobiety: jeszcze nie pokutujące Magdaleny Messaliny, rajfurki. Wszyscy: bez wiary, sumienia i honoru. A na tem wielkiem śmietnisku dwoje tylko ludzi uczciwych, jedna para zakochanych, lecz i ci oprócz czystej miłości, nie posiadają żadnych większych zalet Czy rzeczywiście tak wyglądało towarzystwo salonów warszawskich w końcu zeszłego stulecia? Z pewnością nie. Kraszewski, który je znał tak dobrze, a który zdaje się być wzorem Dominika, inaczej je maluje. A jak ci ludzie w wczorajszej komedyi się wyrażają! W ich rozmowie nie ma ani śladu tej finezyi, dowcipu, polotu fantazyi, kwiecistej romantyczności, — mówią jak dzisiejsza burżoazya. A ów jedyny przedstawiciel szlachty kontuszowej, zamiast rubasznym humorem, popisuje się błazeństwem i trywialnością. Tworząc komedyę na tle pewnej epoki, trzeba koniecznie myśleć i pisać tej epoki myślą i językiem.

Po za tą historyczną nieprawdą tła i nienaturalnością, komedya zbudowaną jest ze znajomością sceniczną i pewnym talentem, chociaż grzeszy w niektórych miejscach rozciągłością i zbytecznemi epizodami. Fabuła zaś sama jest potrosze naiwną: zwykła historya dwojga zakochanych, którzy po tylu a tylu przeszkodach dochodzą do ołtarza. Ponieważ jednak intryga zanadto jest przejrzystą i już w trzecim akcie rozwiązanie jest wiadomem, bajeczka nie obudza w słuchaczach zbyt wielkiego zainteresowania.

Stefan Bielecki, oficer gwardyi, szaleje za hrabiną Zofią Leśniowską. Wtem przyjeżdża do Warszawy młodziutka Marya Zasławska, jego pierwsza i prawdziwa miłość Czyste uczucie, na chwilę porywami zmysłów przytłumione, budzi się i Stefan w szorstki sposób puszcza Zofię. Ale hrabina należy do tych kobiet, które gdy kochają, oddają się zupełnie, a gdy nienawidzą, mszczą się. Zemsta jest także rozkoszą.

Stefan pragnie poślubić Maryę. Ale niejaki graf Rosenberg, awanturnik, jakich wówczas Polska była pełną, zbogaciwszy się szulerką, chciałby także Maryę pojąć za żonę, by w ten sposób zdobyć sobie stanowisko w wielkim świecie. Z tego dla swej zemsty korzysta hrabia i knuje intrygę. Łączy się z grafem i namawia brata Maryi, Stanisława, który nieopatrznie przegrał cały majątek i dłużen jest Rosenbergowi wielkie sumy, by za cenę skryptów dłużnych skłonił swą siostrę do oddania ręki awanturnikowi. Do ligi przeciw Stefanowi wciąga jeszcze szambelana Józefa Węgrzyckiego. Ten jednak pozornie tylko służy jej sztandarowi; jest on przyjacielem Stefana i podał ręce jego wrogom by ich zdradzać i krzyżować ich plany.

Marya, która kocha Stefana, odtrąca rękę niemieckiego grafa. Wówczas liga układa jej wykradzenie, ale temu przeszkadza szambelan. Hrabina, płonąca żądzą zemsty, nie opuszcza jednak rąk Na wspaniałym balu kostyumowym u kasztelanowej Dembińskiej wmawia w Maryę urojone niebezpieczeństwa i jako jedyną drogę ocalenia wskazuje jej bezzwłoczny ślub w kościele pobliskiej wioski z jej ukochanym Stefanem. Ślub odbyć się musi w tajemnicy, w pomroku, w maskach: oto hrabina zamierza zamiast Stefana postawić Rosenberga na ślubnym kobiercu.

Powiadomiony o tym planie szambelan, zdradza przed Stefanem i Maryą złośliwy podstęp hrabiny, a potem pobija ją jej własną bronią. Stefan zabiwszy mimochodem Rosenberga w pojedynku, staje z Maryą przed ołtarzem Hrabina sądząc, że kapłan łączy właśnie ręce grafa i Maryi węzłem nierozerwalnym, cieszy się z nasycenia swej zemsty i już głosi swój tryumf, gdy w tem wracający z kaplicy państwo młodzi mówią jej o prawdzie. Wszystko skończyło się, jak skończyć się było powinno.

„Sto dyabłów", owe warszawskie stowarzyszenie satyryków, gra w romansie o tyle rolę, że pomagają szambelanowi w krzyżowaniu planów hrabiny.

Akt czwarty zaczyna się quasi-szekspirowską sceną między kościelnym a organistą, epizodem zupełnie zbytecznym, a brutalnością swoją, na którą trudno znaleźć nazwy, budzącym wielki niesmak. Sztuce brak treści i rzeczywistości, a przekładanie dekoracyi i kostiumów góruje nad myślą. Publiczność najlepiej przyjęła akt pierwszy i trzeci.

Mimo tego wszystkiego sztuka ta utrzyma się w repertuarze i długo ściągać będzie publiczność. A to dla przepysznego jej wykonania. Dawno już na scenie lwowskiej nie wystawiono sztuki z takiem staraniem, przepychem prawie i wiernością kostyumów — i dawno już artyści nasi nie grali tak po mistrzowsku a zarazem w zgodnej harmonii. Wczoraj ukazali się prawdziwymi artystami i udowodnili, że, gdy zechcą, nawet słabą sztukę podnieść potrafią. W ich jednolitej grze nie było ani jednego dyssonansu. Lepiej grać nie można Wydać się to może przesadą, a jednak tak było.

Wszystkim należy się jednakowe uznanie; tak p. Pankiewiczównej za jej misternie wyrzeźbioną grę, p. Sznażance za pełne swobody, artystycznego uczucia i barwy wykonanie roli, p. Kwiecińskiej za ślicznie odtworzoną Maryę, p. Urbanowiczównej za wesołą podstolinę Artystom również. Pp. Woleński, Trapszo, Zawadzki, Hierowski, Walewski, Feldman, wszyscy nie grali, ale poprostu tworzyli z takim artyzmem, że trudno wyróżnić jednego przed drugim, a cała różnica między nimi była w tem, że lepsi mieli trudniejsze zadanie Każdy jednak z roli swej wyszedł pierwszym Najmniejsze nawet rólki były grane, grał nawet tłum w akcie trzecim. Nie dość na tem. Artyści wiedząc, że w sztuce kostyumowej kostyumy grają wielką rolę, przebrali się w stroje ściśle historyczne i co ważniejsze, umieli je nosić. Niektóre kostyumy, jak pp. Hierowskiego i Trapszy były tak eleganckie, jakby ich właściciele rzeczywiście szli na bal „pod blachę". — A już kostyumy artystek były prześliczne. Toalety p. Sznażanki, zwłaszcza strój w akcie II, zupełnie wierny ówczesnym wzorom, toalety p. Pankiewiczównej i toaleta p. Kwiecińskiej w akcie III, były pełne finezyi, miękkie, dowcipne, rozkoszne, jak samo rococco. Strojne tą modą miłości — bo tak pięknie moda wówczas się nazywała—podobne były zakazanym czarodziejkom.

Ale i reżyserya z trudnego swego zadania, wyszła wczoraj zwycięzko. *Mise en scene* była zawsze bez zarzutu, a dekoracya aktu III roztoczyła obraz rozkosznej epoki kipiącego balu, obraz pełen blasków i tajemniczych cieni, jakby jedną z tych bajek wschodnich, które w owym czasie były w modzie.

Przedstawienie wczorajsze przynosi zaszczyt artystom, dyrekcyi i reżyseryi teatru lwowskiego.

Z.

Kronika.

Lwów 13 stycznia.

Na audyencyi u Cesarza był przedwczoraj prezydent kolei państwowych dr. Leon Biliński i porucznik Stanisław hr. Szeptycki.

Arcyksiążę Leopold Salwator wyjechał wczoraj wieczorem na polowanie do Starzawy.

JE. p. Namiestnik, Kazimierz hr. Badeni, był w poniedziałek o godzinie 1 na audyencyi u Cesarza Posłuchanie trwało przeszło godzinę.

Mianowania. Dyrekcya poczt i telegrafów nadała posady pocztmistrzów: w Gwoździcu, ekspedyentowi pocztowemu w Zwoji, Kamilowi Szale; w Rabce, ekspedytorowi pocztowemu Franciszkowi Jaglarzowi, w Bukowsku ekspedyentowi pocztowemu z Klimca Eugeniuszowi Kowalskiemu, w Słotwinie koło Brzeska ekspedytorowi pocztowemu Szymonowi Fruchterowi, w Zabłotowie ekspedytorowi pocztowemu Justynowi Czaplińskiemu, zaś posady ekspedyentów pocztowych: w Wysokiej ekspedytorce pocztowej Julii Wisłockiej, w Hawczu ekspedytorowi pocztowemu Rudolfowi Wawroszowi, w Zaradzu kwieskowanemu dozorcy telegraficznych Janowi Jurkiewiczowi, w Krempnej ekspedytorce pocztowej Józefie Kosmeckiej, w Jaśliskach ekspedytorowi pocztowemu Władysławowi Ochędudzce, w Czorsztynie wdowie po ekspedyencie pocztowym Eugenii Komanowej, w Strażowie (na dworcu kolejowym) naczelnikowi tamtejszej stacyi kolejowej Józefowi Rakuckiemu, w Demni wyżnej ekspedytorce pocztowej Bronisławie Płonce, w Białobożnicy ekspedytorowi pocztowemu Honoryuszowi Kustynowiczowi, w Zarytem (na dworcu kolejowym) naczelnikowi tamtejszej stacyi kolejowej Karolowi Ettingerowi, w Modełówce (na dworcu kolejowym) naczelnikowi tamtejszej stacyi kolejowej Maksymilianowi Bentce, w Śnietnicy ekspedytorce pocztowej Malwinie Kaczmann, w Dżurynie (na dworcu kolejowym) naczelnikowi tamtejszej stacyi kolejowej Franciszkowi Semanowi.

Przeniesienie. Dyrekcya poczt i telegrafów przeniosła asystenta pocztowego, Maryana Krąpca, z Tarnowa do Lwowa.

Konkurs. Przedwczoraj rozstrzygnięty został w Warszawie konkurs doroczny w Towarzystwie zachęty sztuk pięknych, który w roku bież. przeznaczony został dla dziatwy Apellesa. Na konkurs ów przysłało swoje prace dwudziestu siedmiu artystów, z pomiędzy których trzech dało po dwa płótna. Ilościowo więc plon artystyczny tegorocznego konkursu był bardzo liczny. Rezultat wypadł jak następuje: Nagrodę pierwszą rubli srebrnych 600 przyznano p. Zdzisławowi Jasińskiemu za obraz „Nabożeństwo świąteczne". Nagrodę drugą r. sr. 300 p. Władysławowi Podkowińskiemu za „Portret damy". Trzecie z kolei odznaczenie, przynoszące po r. sr. 200, przypadły w udziale: Apoloniuszowi Kędzierskiemu za „Astronoma wiejskiego" i Pawłowi Rozenowi za obraz „Kury". Nadto listy pochwalne udzielono: p. Zofii Stankiewiczowej za obraz „Przed żniwem", p. Stef. Popowskiemu za „Świt" i p. Wacławowi Pawliszakowi za obraz „U wrót".

Ślizgawka. Po kilkudniowej odwilży, doczekali się nareszcie nasi amatorowie ślizgawki trochę silniejszego mrozu i równocześnie staw na Szumanówce zapełnił się liczną i doborową publicznością. Przygrywała wczoraj muzyka 30 i 95 pp. Przybył także na lód arcyksiążę Leopold Salwator z żoną i z hrabiną Pappi. Arcyksięstwo zabawili na lodzie przeszło dwie godziny i oddawali się sportowi łyżwiarskiemu pod kierownictwem nauczyciela p. Ulenieckiego.

Ze sfer adwokackich. Wydział lwowskiej Izby adwokatów donosi, iż z dniem 9 stycznia br. pp. doktorowie praw: Ferdynand Kwiatkowski, Jan Kanty Tomasz Steczkowski i Leon Klarfeld wpisani zostali na listę adwokatów z siedzibą we Lwowie.

Losowanie sędziów przysięgłych. Na przysięgłych głównych wylosowani: Włodzimierz Jarocki, Jan Bromilski, Seweryn Kronulski, dr. Robert Pawłowski, Aleksander Dąbczański, Władysław Mystkowski, Józef Skolimowski, Edward Hamerski, Jan Nazalewicz, Majer Nechles, Jan Lewiński, Walery Korytko, dr. Józef Smolka, dr. Julian Czerkawski, Józef Franciszek Lang, Józef Hawrylak, Jan Urbański, Michał Deszczakowski, Maurycy Penzias, Stanisław Korzeniowski, dr. Jan Kuczkiewicz, Franciszek Bielecki, Edward Gebhardt, Chaim Oswald Rapaport, Bronisław Lang, Stanisław Długoszewski, Stanisław Michał Falkowski, dr. Stanisław Krzyżanowski, Ferdynand Plewnicki, Gustaw Piotrowski, Karol Kropiwski, dr. Leonard Piętak, dr. Szczęsny Gryziecki, Franciszek Swatzina, dr. Władysław Starczewski, Mojżesz Greidinger.

Na zastępców przysięgłych wylosowani: dr. R. Bargcz, Ludwik Schönthaler, dr. Stan. Jana, Ludwik Stadtmüller, Leopold Baczewski, dr. Teofil Stachiewicz, Julian Abrysowski, Hermann Back, Antoni Bubrich.

Kurs praktyczny gospodarstwa domowego otwartym zostanie dnia 1 lutego br. w szkole wydziałowej żeńskiej im król. Jadwigi. Nauka na kursie obejmie: 1) naukę kucharstwa, 2) naukę prania i prasowania, 3) wiadomości teoretyczne z zakresu gospodarstwa domowego i hygieny.

Warunkiem przyjęcia jest ukończony 15 rok życia i przedłożenie świadectwa szkolnego przynajmniej z klasy 6. Kurs gospodarstwa domowego trwać będzie 5 miesięcy; opłata miesięczna za naukę wynosi 2 złr. i 1 złr. wpisowego. Można też zapisać się tylko na naukę prania i prasowania za złożeniem wpisowego w kwocie 1 złr. i za opłatą miesięczną 1 złr. Reprezentacyi miejskiej przysługuje prawo uwolnienia ubogich uczenic od składania opłaty.

Te osoby, które chcą wyuczyć się gotowania pewnych potraw, pieczenia ciast, albo pewnego rodzaju prania lub prasowania, płacą za jedną lekcyę 50 centów.

Obiady wydawać będzie szkoła w abonamencie do domów o 3 i 4 daniach, pierwsze za 10 złr., drugie za 12 złr. miesięcznej opłaty.

Wpisywać można się na kurs ten codziennie począwszy od 15 bm. w kancelaryi dyrekcyi szkoły wydziałowej żeńskiej im. król. Jadwigi.

Z dyrekcyi miejskiej szkoły wydziałowej żeńskiej im. król. Jadwigi.

Z Zubrzy (pod Lwowem) piszą nam: Prawdziwą plagą są u nas tak zwane „kolędy", trwające od świąt Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku. Zgraja parobków najgorszego gatunku, notorycznych złodziei i próżniaków, chodzi od chaty do chaty, zbierając jałmużny i kradnąc co się nawinie. Zuchwalstwo tych rzezimieszków przechodzi wszelkie granice. W wilię Nowego Roku powinszowali ci kolędnicy tutejszemu proboszczowi w ten sposób, iż w nocy powybijali okien, wdarli się do jego mieszkania i okradli go. Zwierzchność gminna obojętnie patrzy na te wybryki i uważa je jako zwyczaj uświęcony tradycyą, który szanować winniśmy.

Poparcie przemysłu krajowego. Do Towarzystwa Pierwszej krajowej fabryki tkackiej, Lwów ulica Akademicka liczba 2, przystąpili jako członkowie: pp.: Veltze Tadeusz kasyer filii ck. uprzyw. Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu we Lwowie, Bukowski Ignacy urzędnik Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie, Kucharski Edmund ck. nadstrażnik skarbowy w Podwołoczyskach, Czapla Jan właśc. realn. i kupiec w Milnie.

Z Pilznieńskiego piszą nam:

Do ilustracyi smutnego położenia naszych szkół pod względem religijnym umieszczonej w nr. 269 i 283 *Przeglądu* z roku ubiegłego dodać jeszcze wypada, że w 2-klasowej szkole w gminie „Róża", w okręgu szkolnym pilznieńskim, przeznaczono na młodszego nauczyciela żydka.

---

25)

GĄSIORKOWSKI

POWIEŚĆ

przez

W. Kosiakiewicza.

(Ciąg dalszy).

Nie przemówili do siebie więcej ani słówka Każdy tylko przy rozmowie ogólnej starał się jak najwybitniej zaznaczyć, że jest zupełnie innego, wprost przeciwnego zdania o danej kwestyi, jak jego kolega.

Gdy wyszli, mama Balska powzięła myśl, czyby nie można ich pogodzić.

Obaj są tak mili i rozsądni. Tacy przyzwoici pod każdym względem.. Zresztą byli przecież przyjaciołmi...

Ale to rzecz trudna bardzo. Panna Kazia robiła już usiłowania... Każdy ma swoję urazę... każdy twierdzi, że został niewinnie obrażony i każdy wymaga przeproszenia...

Pewnego razu mama Balska powitała Gąsiorkowskiego miną bardzo poważną

— Mamy doskonały projekt — rzekła.

Oddawna to już się było ułożyło, że mama Balska zwierzała się Gąsiorkowskiemu ze swoich myśli i projektów i nierzadko słuchała jego rady.

Projekt ten.., jest tego pewną... podoba mu się bardzo. Oto w karnawale urządzi herbatki tańcujące... takie jak dawniej.. Kazia, Janicka — Dębski, Janicki — to już dwie pary gotowe... jeszcze dwie koleżanki i jeden kolega, a kontredans jest...

Przypomina sobie pan Gąsiorkowski, jak to doskonale szła zabawa na tych zebraniach przed paru laty.

— Naturalnie.

I jakie miłe wspomnienia pozostały na długie czasy w owem „małem kółku".

— Bardzo miłe..

Kazia jest zachwycona tym projektem. Bo też przepyszny, czyż nie prawda?..

— Doskonały.

IV.

Ten sam salonik nieduży z tapetami jasnoniebieskiemi i białemi floresami, ta sama podłoga nierówna, jak dawniej, ten sam fortepian stary, wysłużony, brzęczący jak garnek nadtłuczony... Takie same wieczorki sobotnie, na których mama Balska podaje skromną herbatkę z sucharkami, na których młode nóżki i nogi tańczą ochoczo, a młode serca kochają się i drżą nadziejami i rozpaczami.

Jak dawniej mama Balska przygląda się okiem macierzyńskiem tej zabawie, spokojna o dobrą dolę swoich dzieci, zadowolniona, iż jej dom daje tyle młodym ludziom przyjemności...

Jak dawniej, zachęca do zabawy i organizuje kontredanse Gąsiorkowski, zawsze pełen ochoczości i zadowolnienia, tylko teraz śród otoczenia młodszego od siebie i na stanowisku starego przyjaciela domu jest mniej śmiesznym i mniej wyśmiewanym..

Jak dawniej wreszcie, w kąciku — z główką o komodę opartą — siedzi sobie, zabawie się przypatrując, młoda istotka, na którą nikt uwagi nie zwraca.

Nikt... oprócz Gąsiorkowskiego..

Jak dawniej, nie zapominał o opuszczonej pannie Kazi, tak teraz od czasu do czasu podchodzi do małej Zosi, siada przy niej i rozmawia..

W małym saloniku zapanowała, zakrólowała panna Kazimiera, piękna nad podziw, świeżutka, jak róża w czasie rozpąkania, żywa, wesoła, dowcipna...

W około niej, jak planety w około słońca, wszystko się grupuje—przyjaciółki, które nie mogą dorównać jej pięknością ani powodzeniem i tancerze — wszyscy „trupy".

Każdy z tych młodzieńców oddycha i żyje nadziejami, każdy po wieczorku tańcującym sprawdza swoje szanse, kombinując nowe łaski z dawnemi łaskami i usiłując odgadnąć „właściwe" znaczenie tego lub owego wyrażenia się czarodziejki

Żaden z nich nie wie, który jest najbliższym jej serca... są chwile, w których temu i owemu się zdaje, iż on to właśnie jest tym szczęśliwym, ale chwile te ustępują miejsca innym, w których uważa się każdego rywala za szczęśliwszego od siebie.

Żaden nie może nadziei swoich oprzeć na pewnym gruncie, żaden nadziei tych wyrzekać się całkowicie nie ma powodu.

Kokietka bo to ta panna Kazimiera..

Chwilami rozmawia tak, jakby w duszy młodego chłopca czytała, i na to, co przeczytała jasno, odpowiada... Innym razem udaje, jakby o niczem a o niczem nie wiedziała.

Jednego wieczoru bywa, że któryś wyróżnionym zostaje, najmilsze otrzymuje uśmiechy i najdłuższą, łaskawie udzieloną rozmowę.. Wtedy sam jeden wychodzi po wieczorku, dumy pełen i radości, inni, pełni rozpaczy...

Tylko na następnym wieczorku na pewno role się zmienią.

Dębski i Janicki, jednakową trapieni niepewnością, wspólnością losu związani, pogodzili się, a nawet zamienili w serdecznych przyjaciół, najserdeczniejszych pod słońcem.

Panna Kazia spogląda sceptycznie na tę przyjaźń. Jest przekonaną, że dostatecznem byłoby kiwnięcie jej małego paluszka, aby przyjaźń ta rozleciała się.

Wyraża nawet to zdanie przed swojemi przyjaciółkami.

Posiada przecież skrupuły pewne.

— Ale nie, — powiada, — tego nie zrobię... To byłoby niedobrze.

Ma wszakże chęć... coś ją do tego kusi.

Kusi ją do tego przeświadczenie o dużej władzy swojej, dzięki której ci chłopcy wyglądają niby lalki na sznurkach, których końce panna Kazia trzyma w ręku...

W którą stronę pociągnie sznurek, w tę idzie lalka...

To takie zabawne.

Mimo najlepszego serca tak trudno się oprzeć chęci częstego pociągania za sznurek...

Z Gąsiorkowskim przyjaźń stała...

Unika teraz panna Kazimiera tych tematów drażliwych, jakich dostarczają dzieła Zoli i Bourget'a, a które były częstym dawniej przedmiotem konwersacyi.

Stosunek wszelako na szczerości nie stracił.

Gąsiorkowski jest tym, który naprawdę wie, co w każdym razie myśli piękna panna Kazia o swoich wielbicielach.

Panna Kazia śmieje się z nich wszystkich.

Grubo się mylą ci biedni chłopy, jeżeli myślą, że te dwuznaczne i niedwuznaczne słówka, które im przepełnione serce wypchnęło na usta, i które wyszeptali przy długo szukanej sposobności — sam na sam, — pozostaną, choćby tylko uszanowaną tajemnicą.

Panna Kazia powtórzy je Gąsiorkowskiemu z wesołym uśmiechem i z komentarzami, niebardzo pochlebiającemi całemu rodowi męskiemu.

Gąsiorkowski nie pochwala postępowania panny Kazi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wprawdzie *Szkoła* w nrze 49 r. z. zbija zarzuty podniesione przez ks. J. Z. w poznańskim *Przeglądzie kościelnym* — a dwóch wybitnych księży w nrze 52 r. z. *Szkoły* składa podziękę za obronę szkół naszych pod względem religijnym — i po części słusznie — bo u nas, dzięki Bogu, stosunki religijne w szkołach są lepsze, niż gdziekolwiek, lecz to zawdzięczyć mamy tylko dobrej woli i poczuciu katolickiemu naszego zacnego Namiestnika, członków Rady szkolnej krajowej i inspektorów szkół krajowych i okręgowych, wreszcie dobrej woli naszych nauczycieli, którzy z małym wyjątkiem przejęci są poczuciem religijnem — lecz sama ustawa szkolna nie daje żadnej gwarancyi wychowania religijnego naszej dziatwy w szkołach, jak powyższy fakt w Pilzneńskiem dosadnie wskazuje. Ustawa ta jest podobna do węgla ukrytego w popiele: niech tylko nieprzyjazny wiatr zawieje, wnet w nieszczęsny ogień wybuchnie; niech zmienią się stosunki krajowe, niech nieprzyjaźne żywioły zastąpią dzisiejszych mężów zarządzających szkolnictwem, wtenczas poczujemy całą grozę naszej ustawy szkolnej.

Mianowanie owego żyda nauczycielem w Róży wywołało wielkie oburzenie ludności, tak, że gdy on zjechał do Róży, gmina dowiedziawszy się o tem, wysłała deputacyę do kierownika szkoły p. Bronikowskiego, z oświadczeniem, że jeżeli żyd będzie uczył, rodzice dzieci swoich do szkoły posyłać nie będą. (X.)

Poseł Madeyski. Jedno z pism krakowskich donosi, że w kołach poselskich w Wiedniu obiegać zaczęła pogłoska, że p. Madeyski po skończonej sesyi zajmie wysokie stanowisko sądownicze w Krakowie.

Z Warszawy donoszą, że p. Szolc-Rogoziński znany podróżnik afrykański, mąż Hajoty, wystrzałem z rewolweru o mało nie pozbawił się życia. Kula wymierzona w czoło spłaszczyła się o kość i nie przebiła jej. Wyjęto ją natychmiast i stan zdrowia p. Rogozińskiego nie budzi żadnych poważnych obaw.— Czy to był zamach samobójczy, czy przypadek, nie wiadomo — Otoczenie rannego uważa zajście to za przypadek.

Wybory do Rady miejskiej. Wczoraj odbyło się piąte walne zgromadzenie wyborców, zwołane przez komitet mieszczański. Przewodniczący dr. Weigel udzielił głosu p. Krasuckiemu, który odparł wszystkie zarzuty czynione mu na poprzedniem zgromadzeniu przez p. Barańskiego. Zarzutów tych w piśmie naszem nie powtarzaliśmy, dziś zaś tylko dla wyjaśnienia odpowiedzi p. Krasuckiego podamy, iż p. Barański zarzucał mu, iż dzierżawi on za 30 zł cały park stryjski, z którego ma 40 fur siana i to siano sprzedaje magistratowi. Zarzuty te są zupełnie bezpodstawne, gdyż po pierwsze miasto nigdy parku stryjskiego nie wydzierżawiało i nie wydzierżawia, a powtóre mówca siana magistratowi sprzedawać nie mógł, gdyż dostarcza go inny liwerant. W końcu wyraził mówca zdziwienie, dla czego w czasie, gdy rzucano na niego kalumnie, obecny wówczas w sali radny p. Walichiewicz nie sprostował tych faktów. P. Walichiewicz odpowiedział, że nie był wtenczas w sali, gdy p. Barański przemawiał, i słów jego nie słyszał, boby je z pewnością sprostował. Dziś zaś potwierdza, że p. Krasucki rzeczywiście nigdy siana magistratowi nie dostarczał, gdyż liwerantem jest od lat kilku p. Janowska z Hołoska.

W dalszym ciągu posiedzenia kilku mówców krytykowało ostro stanowisko, jakie w obec wyborców zajął *Dziennik Polski*.

P. Mańkowski uskarżał się na magistrat, iż wcale nie dba o robotników. W łaźni Ducheńskiego p. płaci [illegible] 20 zł. miesięcznie, i to jeszcze [illegible] 5 zł. miesięcznie za pomieszkanie. Miasto więc utrzymuje się z tych łaskawych datków t. zw. trinkgeldów, które dają im kąpiący się w łaźni. Przyszłą Radę miejską prosił mówca o lepszą kontrolę nad [illegible] i ogłaszanie publicznie nazwisk fałszerzy, oraz o to, aby raczyła co roku odkładać pewien fundusz na budowę domu podrzutków, którego brak we Lwowie wiele uczuć się daje.

W dalszym toku obrad jeden z mówców chciał znów wystąpić ze złośliwemi wycieczkami przeciw pewnemu radnemu, zabrał głos w kwestyi formalnej p. Jaegerman i ostro zgromił tych wyborców, którzy na walnych zgromadzeniach zamiast radzić nad dobrem miasta wywlekają jakieś prywatne sprawy radnych i bawią niemi zgromadzonych, poniżając w ten sposób godność walnego zgromadzenia wyborców. W tym samym duchu przemawiał także p. Zimmer, który oprócz tego prosił, aby przyszła rada zaprowadziła w łaźniach lepsze oświetlenie, [illegible] i domagała się usunięcia z środka miasta domu kary, gdzie urządzono fabryki, zamiast używać skazańców do innych robót, jak n. p. do regulacyi rzek i sypania szańców. W końcu postawił mówca wniosek, aby zmieniono ordynacyę wyborczą w ten sposób, żeby co 3 lata ustępowała połowa radnych.

P. Stadnicki uskarżał się na to, że w magistracie dostają posady dyurnistów emeryci, mający dość znaczne pensye i odbierają przez to chleb innym ludziom młodym, którzy najmniejszego zaopatrzenia nie mają. Żądał także mówca, aby osobne komisye przeprowadzały rewizye sanitarne domów i hoteli, aby zaprowadzono ostrą kontrolę nad wydatkami na [illegible] i brukowanie ulic i aby Rada m. zajęła się uporządkowaniem ulic na przedmieściach i w dzielnicach żydowskich.

P. Lisiewicz postawił dwa wnioski. Pierwszy, aby miasto zakładało ochronki dla małych dzieci po przedmieściach i drugi, aby pogrzebom urządzanym dla biednych przez Tow. imienia Józefa z Arymatei, przydawał zawsze jeden z księży. Oba te wnioski przyjęto.

W końcu p. Jaegerman krytykował ostro budżet i złą gospodarkę magistracką funduszami stypendyjnemi. W budżecie jest pełno błędów i niedokładności, których usunąć należało. Oto n. p. w budżecie z r. 1891, wyraźnie zanotowano, że należna za ściąganie podatków kwota 35.000 złr. już wpłynęła, tymczasem w zamknięciu rachunkowem za r. 1890 wyraźnie czytać można, że nic nie wpłynęło. Żąda więc mówca wyjaśnienia tej sprzeczności. [illegible] Wnioski te przyjęto. Przy końcu posiedzenia [illegible] z 200 członków.

Dziś o godzinie 6-ej wieczorem odbędzie się zgromadzenie wyborców m. Lwowa zwołane przez komitet polsko-ruski.

W lokalu Czytelni katolickiej (ul. Łyczakowska nr. 3, II piętro), odbędzie się we czwartek 14 stycznia wieczorem o godzinie 7 pogadanka: „O utopiach socyalnych".

Ospa grasuje w Ustrzykach dolnych.

Samobójstwo. Ze Stanisławowa piszą nam: (P.) W niedzielę 10 bm. odebrał sobie życie przez powieszenie się kapitan 2 baterii 21 dywizyi artyleryi, Rilke. — Powód samobójstwa dotąd niewiadomy; zdaje się jednak, że nieszczęśliwego popchnęły do tego czynu niesprawiedliwe denuncyacye ze strony jego podwładnych.

Jestto niezwykły fakt, że oficer odebrał sobie życie przez powieszenie się. — W mieście naszem samobójstwo tu wywołało wielką sensacyę.

Z Koła literacko-artystycznego. W koncercie, który pod kierownictwem p. Karola Mikulego wykonany będzie podczas rautu w piątek dnia 15 b. m. oprócz pań i panów już wymienionych, biorą także udział w części humorystycznej pp. Skalski i Trapszo — we fragmencie zaś z „Konfederatów barskich", obok p. Ł. M. grono pp. akademików. Wstęp 50 ct. od osoby dla członków koła i ich rodzin. Strój wizytowy.

† Katarzyna Browiczowa. Zmarła przed kilku dniami w Krakowie śp. Katarzyna Browiczowa, o której śmierci krótką notatkę podaliśmy wczoraj, była matką dra Tadeusza Browicza, profesora uniwersytetu jagiellońskiego. Śp. zmarła była kobietą wielkich cnót, powszechnie szanowaną i poważaną. Pogrzeb jej odbył się wczoraj rano przy licznym udziale rodziny, przyjaciół i znajomych. Wziął w nim także udział liczny zastęp profesorów uniwersytetu.

Alarmująca pogłoska rozeszła się wczoraj po Krakowie, a mianowicie, że w kopalni wielickiej nastąpiła straszna jakaś katastrofa. Na szczęście pogłoska ta okazała się fałszywą. — Oto co pisze o niej *Czas:*

O zapadnięciu się w Wieliczce kilkunastu domów, a nawet o zapadnięciu się całego miasteczka z powodu podkopania go salinami, obiegały po Krakowie niepokojące wieści. Na podstawie informacyj, jakich zasięgnęliśmy z Wieliczki, możemy donieść, że wszystkie te wieści nie mają żadnej podstawy, a powstały jedynie z tego powodu, że w salinach górnicy podczas pracy natrafili na saletrę, która zapaliła się od kaganka i stąd powstała eksplozya. Nie spowodowała ona jednak żadnych szkodliwych następstw, a tem mniej zapadnięcia się domów lub całego miasta.

Na zupę rumfordzką złożono w handlu Ignacego Drexlera i synów, przy placu Kapitulnym 2.

J. P. zł. 1, M. P. 2, Marya S. 1, P. Jełowicka, Wład. Gniewosz, P. Breuerowa i Izabela hr. Rusocka po 5 zł.

Rozdano od dnia 3 do 9 bm. 1912 porcyj zupy i 1912 porcyj chleba.

Z Gwiazdy. W sobotę dnia 16 b. m. w lokalu Stowarzyszenia rękodzielników lwowskich „Gwiazda", przy ul. Franciszkańskiej 1 7 odbędzie się pierwszy wieczorek maskowy, z którego czysty dochód przeznaczony jest na rzecz funduszów stowarzyszenia. Wieczory maskowe urządzane przez „Gwiazdę" cieszyły się w zeszłym roku wielkiem powodzeniem, sądzimy więc, że i w tym roku ściągną one liczną publiczność.

Z muzyki. Przed kilku dniami donieśliśmy, iż na konkursie muzycznym, rozpisanym przez warszawskie Towarzystwo muzyczne na opracowanie pieśni ludowych polskich, otrzymał pierwszą nagrodę nasz recenzent muzyczny p. Mieczysław Sołtys, profesor w lwowskiem konserwatoryum muzycznem i żeńskiem seminaryum nauczycielskiem. Podając tę wiadomość, z łatwo zrozumianych względów nie rozpisywaliśmy się szeroko o nowym laureacie, zamieściliśmy tylko ocenę, jaką o pracy jego wydał recenzent muzyczny *Kuryera warszawskiego*.

Kilka słów p. Sołtysowi poświęcił także fejletonista *Gazety narodowej*. W długim artykule o muzykach i muzyce polskiej, w którym uskarża się on, iż społeczeństwo nasze nie dba wcale o rozwój swojskiej muzyki i nie popiera ją tak jak powinno, znajdujemy następujący ustęp: „Parę dni temu wypłynęło nazwisko Sołtys. Zwyciężył młody muzyk na konkursie warszawskim, a zwyciężył świetnie, w warunkach najtrudniejszych. Mniemałem, iż kwartety te, to cały jego dorobek, tymczasem dowiaduję się, że Sołtys ma gotową, gotowiusieńką operę komiczną p. t. „Polowanie w Nieświeżu", której bohaterem Radziwiłł! Opera komiczna u nas, to chyba *rara avis*! I nietylko u nas, wszędzie rzuconoby się na nią z zapalczywością!

I cóż z tego? Nic i nic! „Polowanie w Nieświeżu" zmurszeje w szufladzie twórcy tak, jak utwory innych polskich muzyków, a potem publiczność narzekać będzie „na brak swojskiej muzyki", a dzienniki wyleją kilka łez „nad zanikiem muzyki w Polsce i jej trubadurów".

Obłąkana nauczycielka. Przed kilku miesiącami donieśliśmy w kronice, że pewna nauczycielka w okolicy Zbaraża nazajutrz po weselu w sąsiedztwie, gdzie bawiła się ochoczo, dostała pomięszania zmysłów tak, że musiano ją odwieźć do zakładu kulparkowskiego. Niektóre pisma osnuły na ten temat sensacyjny romans, podając jako powód obłąkania owej nauczycielki to, iż ją zahypnotyzowano i w tym stanie zbrodnię na niej popełniono. Oczywiście stugębna fama rozniosła w lot tę wersyę, przystrajając ją mnóstwem dodatków, uwłaczających czci biednej dziewczyny i innych poważnych osób. Zaraz w pierwszej chwili wyraziliśmy powątpiewanie w prawdziwość tych opowiadań. Dziś przekonaliśmy się, że słusznie przewidywaliśmy. Władze sądowe przeprowadziły bowiem w tej sprawie jak najenergiczniejsze dochodzenia, z których okazało się, że całe opowiadanie o zahypnotyzowaniu dziewczyny i t. d. było bajką. Faktem jest tylko, że panienka owa w parę dni po weselu, na którem była, dostała obłąkania i do dziś dnia pozostaje w kuracyi na Kulparkowie. Obłąkanie to nie stoi w żadnym związku z jakąś zbrodnią, lecz ma następujący powód: W Berezowicy wielkiej koło Tarnopola, gdzie owa panna była nauczycielką, szalała w lecie zeszłego roku straszna burza, która stuletnie drzewa z korzeniem powyrywała i chaty włościańskie zburzyła. Skutkiem tej burzy popadła nauczycielka w taki stan rozdrażnienia nerwowego, iż przez dwa tygodnie ciężko chorą była. Później przyszedłszy nieco do siebie, uczyła się dużo po nocach, aby zdać egzamin na nauczycielkę i zdała go przy końcu lipca. Naturalnie ta umysłowa praca wzmogła jeszcze bardziej stan rozdrażnienia nerwowego, wesele zaś, na które owa nauczycielka w jakiś czas po złożeniu egzaminu pojechała i na którem wiele tańczyła, przyspieszyło katastrofę. W kilka dni bowiem popadła biedna dziewczyna, która już przedtem, po burzy, zdradzała niepokojące objawy melancholii, w zupełne obłąkanie, z którego do dziś dnia jeszcze jej nie wyleczono.

Dowiadujemy się z pewnego źródła i z prawdziwą przyjemnością konstatujemy, że księgarnia Seyfartha i Czaykowskiego wycofała niezwłocznie ze swego debitu szkodliwą i niemądrą broszurkę, o której pisaliśmy w nrze 7 z dnia 10 stycznia i która przez nieuwagę została do księgarni przyjętą. Znając sumienność i uczciwą tendencyę tej firmy, byliśmy od początku pewni, że jej dobrą wiarę wprowadzono w błąd i że szerzenie broszury inne ma źródła, lepiej ukryte, co tem jest oczywistsze, że właściwą kolportacyą pp. Seyfart i Czaykowski się nie zajmują.

Bocheńska Rada powiatowa uchwaliła polecić wydziałowi powiatowemu zwołanie ankiety obywatelskiej celem narad o zapobieżeniu możliwej klęsce nieurodzaju w tamtejszym powiecie na rok bieżący.

Korpus ck. weteranów wojskowych zamianował Wład. Moschę, radzcę ck. Dyrekcyi skarbowej swym członkiem honorowym, zaś pp. Antoniego Jachimowskiego, Krzysztofa Janowicza i Michała Spożarskiego członkami wspierającymi.

Temperatura. Termometr + 1° R. Barometr 755°. Idzie w górę. Rano padał śnieg.

Zmarli. Stanisław Mirowicz, urzędnik gal. Towarzystwa gospodarczego i członek Tow. gimnast „Sokół", zmarł we Lwowie w 45 roku życia. — X. Hipolit Małecki, zmarł dnia 8 b. m. w Lackiem szlacheckiem koło Tyśmienicy w 82 roku życia, a 53 kapłaństwa. — X. Jan Winnicki gr. kat. proboszcz w Kasprowcach, w dekanacie zaleszczyckim zmarł dnia 7 b. m. w 72 r. życia, a 40 kapłaństwa.— X Tadeusz Wirski gr. kat proboszcz w Łdzianem w dekanacie kałuskim zmarł w 82 r. życia, a 55 kapłaństwa — Marya z Tustanowskich Kotecka, żona gr. kat katechety w Sanoku zmarła 6 b. m

Opinia publiczna.

Pyta filozofa
Uczniów rzesza liczna,
„Mistrzu! co to znaczy
Opinia publiczna?"

„Jest to takie zdanie —
Rzecze mistrz najszczerzej —
Którego tłum słucha,
Ale mu nie wierzy"...

Teatr. Dziś we środę (12 bm.) o godzinie 7 wieczorem: po raz drugi „Sto dyabłów", komedya w 4 aktach Franc. Deminika — We czwartek „Traviata", opera w 3 aktach, drugi debiut pani A. Malinowskiej i gościnny występ pp.: Bernhardta i Warmutha. — W piątek przedstawienie składane: 1) „Piękna Helena", komedya w 1 akcie Meilhaca, 2) po raz pierwszy „Schadzka", komedya w 1ym akcie Przybylskiego i 3) po raz pierwszy „Nieprzyjaciel muzyki", operetka w 1 akcie.

Literatura i Sztuka.

Opera Wczoraj występowała gościnnie w „Trubadurze" p. Lenczewska, jako Leonora. Jej głos jest tego rodzaju, że nie trzeba zwlekać z wydaniem o nim sądu do następnego występu. Już kilka pierwszych taktów zapoznaje słuchacza z nim dostatecznie i usposabia dlań przychylnie, skłaniając do wydania korzystnego sądu. Zbytecznem byłoby zastanawiać się nad tem, jakimi są dolne, środkowe i górne tony obszaru głosowego, idzie bowiem o to, żeby całość zadowalniała, a to właśnie w tym wypadku ma miejsce. Sposób śpiewania jest zdecydowany, pewność środków głosowych wielka, ani śladu wahania się w obiorze tego lub owego rodzaju emisyi — są to zalety, które dozwalają już w pierwszej chwili wyrobić sobie zdanie o śpiewaczce. Ta pewność siebie cechuje nietylko jej głos, ale i grę i mogłaby ściągnąć lekki zarzut o zbytek energii i temperamentu w pomienionych kierunkach, lecz słuchacz chętnie to wybaczy, bo zresztą i nie zauważy nagrodzony poprawną metodą śpiewu i wykonaniem muzykalnie bardzo dobrem.

Azucena wczorajsza, p. Kasprowiczowa, wykazała znów w swym głosie i w swej grze ogromny zasób dramatyczności, którą zdołała kilkakrotnie porwać audytoryum. Talent ten niezwykły i głos sympatyczny w wysokim stopniu, zasługują ze wszech miar na to, żeby ich nie zużywać i nie niszczyć, zatrudniając zdolną śpiewaczkę odgrywaniem zwykle niewdzięcznych a zawsze głupich ról w operetkach. Lekkie usterki, jakie tu i ówdzie dają się spostrzedz w jej śpiewie i w grze, są naturalnem następstwem śpiewania i grania rzeczy niewłaściwych, a dobry smak psujących. Takie wielostronne zatrudnianie śpiewaczki mogłoby zakrawać na wyzysk, praktykowany się z musu po scenach prowincyonalnych. Scena pierwsza w kraju powinna być wolną od niego i powinna znać tak swe siły, żeby i chwili nie zawahać się w oddaniu im pierwszeństwa przed obcymi śpiewakami, których wystąpienie poprzedza, jak się to często okazuje, sztuczna i kłamana sława i sfingowane laury zagraniczne. Hołdowanie w tej mierze publiczności, wymagającej czegoś egzotycznego, jest krokiem błędnym.

P. Bernhard i p. Łomiński (Hrabia Luna i Fernando) podobali się; pierwszy z nich forsowną brawurą, drugi skromnem ale wcale poprawnem odśpiewaniem swej partyi zasłużył na względy publiczności. P. Warmuth mimo niedyspozycyi odśpiewał nietylko to co miał śpiewać, ale nawet tu i tam dodał coś własnego. Bogdaj to być niedysponowanym.

M. Sołtys.

* **Koncert** W piątek dnia 15 b. m. o godzinie 7 wieczorem odbędzie się w sali Domu narodnego I koncert Towarzystwa śpiewackiego „Lutnia" za r. 1891/2, z współudziałem panny Maryi Pawlikowównej, p. Teodora Pollaka i orkiestry 55 pułku. Program:

1. L. v. Bethoven. Uwertura do op. „Koryolan" odegra orkiestra pułku Nr. 55 pod kierownictwem p. K. Kiesowskiego. 2. a) Hauptmann. „Salve regina", b) Nicolai v. Wilm „Las nad jeziorem", c) Jan Gall „Rusałeczko jasnowłosa", chóry mięszane a capella. 3. G. Verdi. Romans z op. „Aida" odśpiewa p. O. Sack, członek „Lutni". 4. a) Engelsberg „Gdy byłem młody", b) Tovaczowsky „Orle pestry" (po czesku), c) Werbickij „Oj zazułe" (po rusku), d) Studziński „Krakowiak", chóry męskie a capella. 5) a) T. Pollak „Romance", b) Fr. Liszt „Venezia e Napoli" Tarantella, odegra na fortepianie p. T. Pollak. 6. P. Mascagni. I. chór z op. „Cavalleria rusticana", odśpiewa chór mięszany „Lutni" z tow. orkiestry. 7. a) P. Mascagni. Arya z op. „Cavaleria rusticana", b) G. Verdi Bolero z op. „Nieszpory sycylijskie," odśpiewa panna M. Pawlikowówna. 8. Schubert-Liszt. „Wielkim jest Jehowa" (Allmacht) na solo tenorowe (p. O. Sack) chór męski i orkiestra. 9. Wł. Żeleński. „W Tatrach" fantazya. Odegra orkiestra pułku nr. 55 pod kierownictwem p. K. Kiesowskiego.

Część ekonomiczna.

§ **Sprawozdanie** tygodniowe izby handlowej i przemysłowej o cenach zboża i produktów we Lwowie od 2-go do 9-go stycznia 1892 r. bez opłaty akcyzowej: Pszenica 11·10—11·35, żyto 9.85 do 10·10, jęczmień browarny 7·10—7·50, pastewny 6.—— 6·25, owies 7·40—7.70, hreczka 9.65—10.35, kukurudza zeszłor. 7.25—7.50, nowa 6.80—7·25, groch do gotowania 9·00—11.00, pastewny 6.50 do 7·50, fasola 6·50—7.25, bob. k 6.50 do 7.25, wyka 5·75—6·50, koniczyna 45·— do 70.—, anyż rosyjski —.— do —.—, anyż płaski —.— do —.—, kminek —.— do —.—, rzepak zimowy 12.— do 14·—, letni —.— do —.—, lnianka 0.— do 0.—, nasienie lniane —.— do —.—, chmiel —.00—00, nafta zwykła 14.25—15.25, salonowa 16·50—17.50. Spirytus 10.000 literpr. gotowy kontyngentowany z podatkiem konsumcyjnym 55.75—56·15.

§ **Z wiedeńskiego targu na bydło.** Na poniedziałkowy targ przypędzono bydła rzeźnego 4145 sztuk opasowego i 562 sztuk chudego. Razem 4707 sztuk. Pomiędzy temi przypędzono z Galicji 386 opasowych i 105 sztuk chudych, z Bukowiny 81 sztuk bydła opasowego. Ogółem przypędzono o 1333 sztuk więcej, niż zeszłego tygodnia, a z samej Galicji o 7 mniej. Nie sprzedano 211 sztuk.

Towar przedni płacono o 2 zł., inne gatunki o 3—4 zł. niżej niż zeszłego tygodnia.

Płacono: galicyjsko-bukowińskie woły opasowe po 52·— do 58·—, za towar przedni po 59·— do 62·—, wyjątkowo po 64·— do 65·—; węgierskie woły opasowe po 52·— do 62·—, za towar przedni po 63·— do 67·00, wyjątkowo po — — do —·—; z innych krajów koronnych woły opasowe po 54·— do 64·—, za towar przedni 65·— do 68·—, wyjątkowo po 71.— do —·—; krowy po 22 — do 32 —; stadniki po 24·— do 32·—; bawoły po 18·— do 30·— zł. za 100 kilogr. żywej wagi. Bydło chude od 20 do 102 zł za sztukę.

Wiedeń 11 stycznia.

(*Z.*) Wspólna renta majowa (papierowa) dosięgła dziś już kursu 94, tak że przy obecnej cenie daje tylko 4.47 prct. dochodu. Uderzającem jest to, że srebrna renta stoi przeszło o ½ procentu niżej, bo tylko 93.25, jakkolwiek srebrny gulden akurat tyle wart jest co papierowy i każdej chwili może być nań wymieniony. Pewna grupa finansistów udała się z tego powodu do ministra finansów z prośbą, aby za opłatą 5 centów od sztuki mieniał srebrną rentę na papierową i aby użył do tego tych zapasów renty papierowej, jakie posiada zarząd pocztowych kas oszczędności. Oczywiście śmieszna ta propozycya nie będzie uwzględnioną, bo rząd nie utrzymuje kantorów wymiany, a nie winien temu nic, że kapitaliści i spekulanci tak natarczywie kupują majową rentę i mieniają na nią inne renty, przez co sami jej cenę w górę śrubują. Pogłoski o bliskiej regulacyi waluty zaczynają znów silnie elektryzować giełdowców. Dziś puszczono pogłoskę, że rząd nie będzie robił interesu zakupna złota ze samą tylko grupą Rotszylda, lecz przypuści do kooperacyi wszystkie instytuty bankowe. Skutkiem tej pogłoski zatrzymały się kredyty w swym pochodzie ku górze, a podniosły się akcye tych banków, które z haussy dotychczas najmniej korzystały, t. j. anglosy, uniony, bankvereiny i länderbanki. W międzynarodowych kolejowych papierach, jak staatsbahny i lombardy, osłabiła się dziś tendencya skutkiem nacisku z Berlina. W innym zresztą punkcie nie paraliżował Berlin dziś naszej zwyżki. Ruble poszły tam w górę, co odbiło się i w Paryżu na korzyść rosyjskich walorów.

Ostatnie notowania:

Kredyty austrj. 294·50 węgierskie 333·75, Anglobanki 160·40 Uniony 233·25. Bankvereiny 111·—, Länderbanki 208·30, Ludwiki 210·50, Czerniowieckie 244·50, Renta papierowa 93·80, srebrna 93·25, austryacka złota 110·95, papierowa 103·10 węgierska złota 107·20 papierowa 102·10, dukat 5·58, 20 frankówka 9·35— marki 11·57, ruble 1·16 zł.

Ceny zbożowe:

Wiedeń 11 stycznia. Pszenica na wiosnę 11.11 do 11.14, na maj-czerwiec 11.08 do 11.11, na jesień 9.95 do 9.98. — Żyto na wiosnę 10·78 do 10.81 na maj-czerwiec —.— do — —, na jesień 8.95 do 9.— — Kukurudza na styczeń 0 — do 0.—, na maj czerwiec 6·23 do 6·25, na lipiec-sierpień 6.34 do 6.37. — Owies na wiosnę 6·75 do 6.78, na jesień 0.— do 0.—. — Rzepak – .— do —.—. — Spirytus gotowy, kontyngentowany 21.— do 21.25 zł.

Peszt 11 stycznia Pszenica na wiosnę 10·92 do 10.94, na jesień 9.71 do 9.73. — Owies na wiosnę 6·36 do 6.38, na jesień 0.— do 0.—. — Kukurudza na styczeń 5.84 do 5.86, na maj-czerwiec 0.— do 0 —. — Rzepak 13·50 do 13·60. — Spirytus 21·50 do 22 — zł.

Berlin 11 stycznia. Pszenica na styczeń 213, na kwiecień-maj 213.50, — Żyto loco 225.—, na styczeń 236.50, na kwiecień-maj 233.50 na maj-czerwiec 220.75. — Jęczmień loco 157 do 204. — Owies na styczeń 164.—, na kwiecień-maj 165.50 za 1000 kg. — Spirytus loco 49·50, na kwiecień-maj 50.60 marek

Telegramy „Przeglądu".

Berlin 13 stycznia, Z niebywałą okazałością odbyło się wczoraj w południe zaprzysiężenie x. arcybiskupa Stablewskiego. X. Arcybiskup przyjechał do zamku w powozie galowym, a wojska przez drogę tworzyły szpaler. Sale audyencyonalne zamku królewskiego zajęli dygnitarze dworscy. Wysocy dostojnicy państwowi towarzyszyli księciu Kościoła przez dziedziniec zamkowy aż do sali, w której cesarz w mundurze korpusu gwardyi w pancerzu i hełmie, siedział na tronie. Przy złożeniu przysięgi, interweniowali ministrowie oświaty i spraw wewnętrznych.

Po zaprzysiężeniu, przyjmował cesarz x Stablewskiego na audyencyi prywatnej. Przy złożeniu przysięgi miał x. Stablewski do cesarza przemowę, w której dziękował mu za położone w nim zaufanie i podniósł, że cesarz pojął jasno i śmiało swoje obowiązki monarsze. Otwarcie i śmiało, jak rzadko który inny monarcha, wskazał cesarz na religię chrześcijańską jako na najsilniejszy punkt oparcia dla ludzkości. Dla tego też z ufnością spogląda x Stablewski w przyszłość bo przekonany jest, że katolicy znajdą w sercu monarchy należną im opiekę i obronę

W rocie przysięgi, którą złożył x Stablewski, był następujący ustęp:

„Przysięgam szczególnie, że nie będę utrzymywał żadnych takich związków, bądź to wewnątrz, bądź zewnątrz kraju, które mogłyby stać się niebezpiecznemi dla dobra publicznego i jeślibym kiedykolwiek dowiedział się, że w mojej dyecezyi lub gdziekolwiek indziej czynią przygotowania, które mogą wyjść na szkodę państwa, to niezwłocznie doniosę o tem waszej cesarskiej mości".

Cesarz odpowiedział na to, że żywi nadzieję, iż x. Stablewskiemu uda się pogodzić waśni, które między dziećmi jednego kraju być nie powinny, że w dyecezyi swojej krzewić będzie uległość i wierność dla domu cesarskiego, poszanowanie dla ustaw i zgodę między mieszkańcami. Cesarz ma to przekonanie, że arcybiskupie berło gnieźnieńsko-poznańskie spoczywać będzie w silnych, wiernych i sprawiedliwych rękach.

Lizbona 13 stycznia. Minister finansów podał się do dymisyi.

Wiedeń 13 stycznia. Na dzisiejszem posiedzeniu izby posłów w dalszym ciągu debaty nad traktatami handlowymi, przemawiał p. Dipauli z Tyrolu i rzekł, że traktat włoski sam, bez niemieckiego, i bez akompaniamentu muzyki wojskowej trójprzymierza, napotkałby z pewnością na bardzo zaciętą opozycyę. Nawiązanie ponownych rokowań z Włochami uważa mówca za możliwe, a nawet za pożądane nietylko ze względu na hodowców wina, lecz także ze względu na przemysł lniany. Mówca prosi o wzięcie w obronę ludności Tyrolu, i przypomina zasługi, jakie położył Tyrol, broniąc niegdyś tych granic, z których teraz grozi mu klęska ekonomiczna.

Rzym 13 stycznia. Dzienniki włoskie potwierdzają, że podróż ministra wojny do Sycylii miała na celu urządzenie wielkiego warownego obozu w środku wyspy w pobliżu Castrogiovanni.

Wiedeń 13 stycznia. *Vaterland* donosi, iż w celu ściślejszego związku klubu Hohenwarta z rządem, będzie zawsze bywał na posiedzeniach klubu minister rolnictwa hr. Falkenhayn.

Sofia 13 stycznia. *Agence Balcanique* donosi, iż rząd bułgarski i turecki prowadzą wspólne obrady nad tekstem noty, jaką ma rząd bułgarski wystosować do Francyi w sprawie Chadourne'a.

Petersburg 13 stycznia. Ajencya północna prostuje pierwotne swe doniesienie, mianowicie wiadomość, że Hurko ustępuje z posady, podał nie *Journal de Saint Petersbourg*, ale *Petersburger Zeitung*.

Przyjechali do Lwowa

dnia 13 stycznia 1892

HOTEL ŻORŻA: A. hr. Męciński z Dukli. O. Orłowski z Połowiec. H. hr. Wiśniewski z Krystynopola. W. Skibniewski z Podola ros. E. Spitzer z Eisenstadt. W. Gużkowski z Chodorowa.

HOTEL FRANCUSKI: A. Waligórski ze Swaryczowa. Dr. M. Fränkel z Czerniowiec. M. Matkowska z Szczerca. G. Lülmann z Bremy. S Beck z Wiednia. E. Weber z Wiednia. J. Czaykowski z Pietniczan.

HOTEL CENTRALNY: Rudnicki z Czerniowiec. Rychlicki z Seretu. J. Biliński z Leszczyn. J. Perslerz z Wiednia. A. Dziewolski z Krościenka. S. Sokołowski z Dabiecka. L. Kurkiewicz z Krakowa.

Telegram giełdowy.

Wiedeń dnia 13 stycznia godz. 1. min. 40.

Akcje kred.	293·37	Węg. kolej półn. wschodn.	198·25
Alpiny	62·20	Wiedeńskie losy kom.	151.50
Kredyty węg.	332·50	Akcje tyton.	165·25
Anglobanki	159·90	Gal. obl. indem.	104·50
Uniony	232.25	Elbethale	229·25
Ludwiki	210.37	Länderbanki	208·—
Nordbany	285·25	Renta zł. węg.	107·—
Lombardy	89·75	Bankvereiny	111·—
Losy tureckie	35·40	Renta węg. p.	102·20
Staatsbahny	291·12	Ruble	1·15·25
Czerniowieckie	245·—		

Usposobienie stałe.

Lwów. Z Izby handlowej 13 stycznia 1892.

1. Akcje za sztukę.

bez kupony ciekącego bez dywidendy.	płacą		żądają	
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. w. a.	209	—	212	—
„ lwow.-czer.-jass. 200 zł. w. a.	243	50	246	50
Banku hip. galic. 200 zł. w. a.	316	—	321	—
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	—	—	216	—
Listy zastawne za 100 zł.				
Banku hip. galic. 5% 40 „	100	40	101	10
Banku hip. galic. 5% z 10% pr.	107	50	108	20
Banku hip. 3½% wa. los. w 50 lat.	98	30	99	—
Banku krajowego 4½% wa.	98	50	99	20
Tow. kred. galic. 4% „ nieokr.	96	80	97	50
„ „ „ 4 „ „ „ 41½	95	10	95	80
„ „ „ 4½ „ „ 52 l.	99	40	100	10
„ „ „ 4 „ „ 56 „	94	70	95	40
3. Listy dłużne za 100 zł.				
G. Z. kr. wł. (daw. 6%) 3% w likw.	55	—	57	—
„ „ „ „ (daw. 5%) 2½% „	53	—	55	—
4. Obligi za 100 zł.				
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	104	30	105	—
Galic. fund. propinacyjnego 4% „	92	80	93	50
Bukow. fund. propin. 5% w. a.	100	80	101	50
Kom. banku kraj. 5 prc. wa. I em.	100	—	100	70
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 pr. w. a.	104	50	—	—
„ „ „ 1883 4½%	97	50	98	20
5. Losy.				
Losy miasta Krakowa	21	50	23	50
„ Stanisławowa . . .	27	—	30	—

6. Monety.

Dukat holenderski	5.54	5.64
Napoleondor	9.30	9.40
Półimperjał rosyjski	9.50	—.—
Rubel rosyjski srebrny . . .	1.21	1.31
„ „ papierowy . . .	1.14½	1.16½
100 marek niemieckich	57.70	58.30

8)

W CHWILI GNIEWU

NOWELA

Gastona Bergereta.

(Ciąg dalszy).

Była to okoliczność, mogąca mieć znaczenie wielkie, gdyż wiadomo, że w debatach przysięgłych wystarcza często, by jeden z nich zabrał głos pierwszy i wypowiedział swą opinię, aby pociągnąć za sobą swych kolegów.

Zobaczono się więc z nim, nie dla tego by wpłynąć na jego przekonania, ale by zwrócić jego uwagę na pewne punkta ważne, które podczas rozpraw mogły być przeinaczone lub zamilczane i by go przestrzedz przed zabiegami, jakieby inni czynili około niego.

P. Michelin był pierwszy raz dopiero sędzią przysięgłym i oddawna pragnął spełniać ten najtrudniejszy ze wszystkich cywilnych obowiązków i nakładający zarazem największą odpowiedzialność. Czynione około niego zabiegi przyjął bardzo chłodno i nawet z pewną dumą. Przypomniał sobie, że znał Escudiera, chociaż nie widział go od dość dawnego czasu, ale zdołano zaledwie otrzymać od niego przyrzeczenie, że z całą skrupulatną starannością zbada wszystkie okoliczności sprawy i opinję swoją oprze na sprawiedliwości i uczciwości.

Rano w dzień sprawy z niecierpliwością oczekiwano rezultatu losowania, mającego wskazać nazwiska dwunastu przysięgłych, w których ręce miał być złożony los Escudiera. Nazwisko Michelina wyszło z losowania. Była to wróżba dobra.

W liczbie pozostałych przysięgłych znajdowali się: jeden budowniczy, jeden kupiec win, jeden wyższy urzędnik emeryt, jeden botanik, jeden właściciel kawiarni, jeden właściciel nieruchomości, jeden nauczyciel tańcu i t. p.

Pierwszy botanik wystąpił z oburzeniem swem na dziwne i zuchwałe zachowanie się Escudiera, a za nim poszli i inni.

Wielu z nich z goryczą przytaczało z mowy jego obrażające ich wyrażenia. Jeżeli sądził, że sarkazmami swemi i tonem wyższości zastraszy przysięgłych, to omylił się mocno; można należeć do rozmaitych profesyi i różnych sfer towarzyskich, a jednak zgadzać się z sobą w przekonaniach o rzeczywistości jakiegoś faktu. Nie byli oni tak dalece naiwnymi, by dać się olśnić wymową prokuratora lub scenerją sądową, ale nie chcieli wpaść w pułapkę, zastawioną na nich przez pogardę arystokratyczną zręcznego przestępcy. Nie potrzeba było poświęcać się specyalnym badaniom psychologji kryminalnej by spostrzedz różnicę pomiędzy człowiekiem uczciwym, oskarżonym niesłusznie, oburzającym się, protestującym i mówiącym o swem nieszczęściu głosem wzruszonym, a człowiekiem złym, zepsutym aż do szpiku kości, z przewrotnem lekceważeniem odpowiadającym na ciężkie zarzuty i broniącym się w sposób, który stokroć więcej go kompromitował niż pomięszanie i brak związku w tłómaczeniu. W mowie jego wszystko, aż do argumentów, na których opierał swą obronę, było obrażającą ironją. Żądanie przedstawienia aktu zgonu, gdy ktoś sam uniemożliwił sporządzenie go, usuwając osobę potrzebną do sprawdzenia tożsamości było wprost szyderstwem ze sprawiedliwości.

Gdy p. Michelin spostrzegł ten zwrot w usposobieniu przysięgłych, powiedział sobie, że teraz właśnie nadeszła właściwa chwila do osłabienia opłakanego skutku tak źle obmyślanej obrony i skłonienia umysłów do spokojniejszego ocenienia faktów. Ale w tejże chwili przyszła mu myśl, że może być posądzony o stronną pobłażliwość z powodu dawnych stosunków z oskarżonym; zląkł się, by obowiązek sprawiedliwości nie ustąpił w nim przed sympatyą osobistą i powstrzymał się od wyjawienia swej opinii.

Wtedy przysięgli przystąpili do szczegółowego zbadania faktów i w ciągu rozpraw prowadzonych nad pierwszem pytaniem: „Czy oskarżony jest winnym", wyszły już na wierzch przekonania indywidualne. Stosownie do dowodów przedstawianych z jednej i drugiej strony, łatwo już było zdać sobie sprawę z usposobienia każdego z przysięgłych.

P. Michelin spostrzegł ze smutkiem, że sześciu przysięgłych przekonanych było o winie Escudiera, pięciu innych oświadczyło się za brakiem dowodów, a więc za uniewinnieniem.

On był dwunastym i od jego głosu zależał wyrok. Gdyby oświadczył: „Nie, oskarżony jest niewinnym", nie byłoby w takim razie większości. Stanęłoby sześciu przeciwko sześciu. Escudier byłby uniewinniony. Przeciwnie zaś, gdyby powiedział: „Tak", Escudier zostałby potępiony większością siedmiu głosów przeciwko pięciu.

Chwila była uroczysta. W ciągu swej karjery przemysłowej, życia rodzinnego i wykonywania obowiązków politycznych, p. Michelin niejednokrotnie brał na siebie ciężką odpowiedzialność, ale nigdy nie znajdował się w obec komplikacyi tak drażliwej. Potępić przyjaciela, czyż nie było to jedną z najstraszniejszych męczarni? Uniewinnić go, czyż to nie było zdradą najświętszego z mandatów, ustępstwem dla uczuć osobistych lub niedyskretnych wpływów obcych?

Potrzeba było rozróżnić podstawy decyzyi i przejąć się wyłącznie faktami wyjaśnionemi przez śledztwo; ale fakta te prawie znikały wśród wątpliwości miotających sumieniem p. Michelin. Właściwie mówiąc, nie wiedział on, czy Escudier był winnym lub niewinnym; nie pamiętał już ani wypadków, ani argumentów; walka, odbywająca się w jego duszy, miała cel wyższy. Chodziło o przekonanie się: co nim powodowało, czy najdroższe uczucie ludzkie, czy najświętsze obowiązki obywatelskie.

Gdy rozwinięto kartki, znaleziono siedm głosów, uznających Escudiera winnym.

Rozpoczęła się dyskusya nad uznaniem okoliczności łagodzących. Pan Michelin przemówił za niemi pierwszy: jego pierwszy głos ciążył mu na sumieniu, pragnął więc złagodzić jego następstwa, o ile obowiązek na to zezwalał, i cofał się przed myślą kary najwyższej. Uznanie okoliczności łagodzących odpowiadało zresztą jego wstrętowi do stosowania kary śmierci.

Odpowiedziano mu, że według wyraźnej tendencyi prawa, przysięgli chybiają swego obowiązku, gdy myśląc o celu praw karnych, roztrząsają skutki odnośnie do oskarżonych i wydanych przez się opinij. To też zwrócono jego uwagę, że ponieważ oskarżony uznany został winnym zamordowania swej żony, trudno więc było znaleźć bądź w osobie oskarżonego, bądź w spełnieniu zbrodni jakąkolwiek okoliczność, mogącą złagodzić winę.

Ale ta opinia skrajna nie przeważyła; ci nawet, którzy ją popierali, uznali w końcu, że brak trupa, nie stanowiący w gruncie rzeczy okoliczności łagodzącej, powinien jednak ułatwić ich przyznanie i rzeczywiście dobrodziejstwo to otrzymał oskarżony jednogłośnie.

Po powrocie sędziów do sali odczytano deklaracyę przysięgłych, która przyjęta została przez publiczność głośnemi oklaskami.

Oskarżony ani drgnął.

Na zapytanie zaś prezydującego oświadczył, że nie ma nic do powiedzenia o zastosowaniu kary, i, jak wszyscy w takich razach skazani, protestował raz jeszcze przeciw uznaniu go winnym. Prezydujący oświadczył, że sąd oddala się do sali narad.

Nagle u drzwi sali wszczął się zgiełk i w tejże chwili szwajcar sądowy wręczył bilet prezydującemu, który zaledwie zdążył go przeczytać, gdy szeregi widzów rozwarły się, przepuszczając młodą, elegancką kobietę, wzruszoną niezmiernie, która podszedłszy do baryery, oddzielającej publiczność od stołu sędziowskiego, zawołała:

— To ja jestem tą ofiarą!

— Leonora! — krzyknął radośnie Escudier.

— Gustaw! — zawołała.

Chcieli się uścisnąć, ale surowi urzędnicy nie dozwolili im na to.

Wypadek ten w najwyższym stopniu splątał procedurę. Publiczność ze zwykłą jej zmiennością, przerzuciła się w stronę drugą i głośno oświadczyła się za oskarżonym, przysięgli mieli miny godne politowania, adwokaci dusili się od śmiechu i sami sędziowie widocznie byli pomięszani.

Prezydujący jednak nie stracił przytomności i skoro tylko uciszyło się, wytłómaczył sytuacyę.

Werdykt przysięgłych został ogłoszony i w żadnym razie cofniętym być nie mógł. Deklaracya winy była więc nieodwołalną. Tylko, że zjawienie się pani Escudier stanowiło okoliczność nową, z którą należało się liczyć przy zastosowaniu kary.

W skutek tego prezydujący na mocy swej władzy dyskrecyonalnej polecił przesłuchać świadka w celu uzyskania objaśnienia.

Należało przedewszystkiem sprawdzić tożsamość zjawiającej się osoby, gdyż samo oświadczenie jej i oskarżonego nie dawało gwarancyi dostatecznej. Wezwano więc świadków, którzy jednozgodnie zeznali, że przybyłą osobą jest pani Escudier.

Po stwierdzeniu tożsamości, Escudier, którego uporczywy charakter nie uległ nawet w tej ostateczności, oświadczył, że żona jego nie ma najmniejszego obowiązku udzielać jakichkolwiek objaśnień i że jemu tylko winna zdawać rachunek z czasu swej nieobecności. Ale ciekawość audytoryum była do tego stopnia pobudzona, że można się było obawiać poważnych rozruchów, gdyby posiedzenie sądu zostało zamknięte.

Na żądanie prezydującego pani Escudier zeznała:

— Byłam do żywego dotknięta zimną krwią, z jaką, na moje oświadczenie, że go opuszczę, mąż mój odrzekł: „Jak ci się podoba". Powiedziałam, żeby powtórzył te słowa raz jeszcze, rachując, że nie ośmieli się. On jednak powtórzył. Odeszłam do mego pokoju, wzięłam portmonetkę i wyszłam z domu natychmiast, w chwili gniewu.

Znalazłszy się na ulicy, nie wiedziałam co z sobą uczynić. Nie mogłam wracać do mojej rodziny, której nie widziałam od czasu mego za mąż pójścia, a nie chciałam iść do której z moich przyjaciółek, ponieważ każda z nich usiłowałaby mnie pogodzić z mężem, a postanowiłam do tego niedopuścić.

(Dokończenie nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: **Wacław Masłowski.** Papier Braci Fijałkowskich Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządzca: Walenty Hodak.